



**N<sup>o</sup> 404.**

*Prenumerata w Warszawie:*  
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół

**Warszawa, 22 czerwca 1867 r.**

*Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:*  
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.  
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

**TOM XV.**

**TREŚĆ NUMERU.** Miasteczko Horoszki (z drzeworytem). — Przegląd polityki zagranicznej. — Kronika tygodniowa. — Obrazy z życia i natury (z czterema drzeworytami). — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Szkieł z życia warszawskiego (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Najnowsze odkrycia wynalazki i spostrzeżenia naukowe. — Życie za życia (powieść pani Waleryi Morzkowskiej), dalszy ciąg. — Zbiór oryginalnych powiastek i gawęd, dodatek nadzwyczajny do Tygodnika Ilustrowanego (dalszy ciąg).

### Od redakcyi.

Dobre przyjęcie, jakiego ukończona w Nrze 401 naszego pisma powieść p. t. Helena doznała od ogółu publiczności, stało się powodem, że wydawca wspólnie z redakcją postanowił jeszcze na czas jakiś zachować przy Tygodniku

Nowoprzybywający od 1 lipca prenumeratorem otrzymają bezpłatnie dodatki załączone przy ostatnich trzech numerach bieżącego kwartału.

nicza z powiatem owruckim, na brzegach malowniczych rzeki Irszy, wznosi się na potężnych ławicach skał hyperytowych (1) miasteczko Horoszki.

Miasteczko to, jak i wiele innych w naszej okolicy, należy do rzędu mięscin wołyńskich, nie odznaczających się ani powierzchowną okazałością budowli i gmachów, ani większą od innych miasteczek tutejszych ludnością, ani żywszym ruchem handlowym, lub jaką inną wybitniejszą cechą dzia-



HOROSZKI I ZNAJDUJĄCE SIĘ W NICH POKŁADY HYPERYTOWE (Labrador). (Podług fotografii E. Sobkiewicza).

dodatki nadzwyczajne, w których zamieszczone będą wyłącznie utwory treści belletrystycznej. Uwzględniając przytęm życzenia wielu czytelników naszych, dołączać będziemy te dodatki w stronicach przełamanych na format zwyczajnej ósemki, która złożona i rozcięta, utworzy z czasem tomik, z bogactwem mogący każdy księgozbiór domowy.

### MIASTEczKO HOROSZKI

i

jego hyperyty (labrador).

(Notatka historyczno-geologiczna).

W gubernii wołyńskiej, w północnej części dzisiejszego powiatu żytomińskiego, niedaleko pogra-

żalności. Mieści w sobie przeszło tysiąc mieszkańców, kilkaset Żydów i kilkadziesiąt domów żydowskich; z tych kilka zajezdnych, z pustymi zawsze izbami i potłuczonymi w oknach szybami, upoczy-

(1) Pobieźny opis, natura, skład i użytek tych skał, jedynych w całej nie tylko Europie, ale na całej kuli ziemskiej, w tak wielkiej ilości, mają właściwie stanowić treść niniejszego artykułu.



wie wyglądających przybycia wielce pożądanym, lecz zanadto rzadkich w tym mieście przejezdnych gości. Mają Horoszki dwie cerkwie, jedną katolicką kaplicę i bóżnicę żydowską; staraniem właściciela zaprowadzono ubogą w artykuły lecznicze apteczkę i przypadkiem zapewne zamieszkał w miasteczku lekarz. Jeżeli do tego opisu dodamy tu i owdzie na ulicach i uliczkach wznoszące się charakterystyczne kupy śmiecia, to otrzymamy uzupełniony obraz zewnętrznej postaci tej nędznej, lecz pod innym względem znakomitej miejsciny.

Co do przeszłości Horoszek, niewiele umiemy powiedzieć, bośmy niewiele o niej dowiedzieć się mogli. Po prawej stronie rzeki (Irszy), na wyniosłym, skalistym jej brzegu (jak to widzimy na załączonej rycinie), wznosi się dość malowniczy drewniany dom właściciela, otoczony niewielkim przesłicznym parkiem. Cała ta przestrzeń, przypiérająca do stromego brzegu rzeki, obramowana jest w półkole dwoma równoległymi z sobą idącymi wałami, doskonale do dni dzisiejszych zachowanymi. Tu i owdzie zawałające się w nich jamy, tworzą niewielkie w głąb ziemi otwory, zdradzające podziemne chodniki i lochy. W takich otworach znajdowane były ostatnimi czasy kule kartaczowe i uzbrojenia rycerskie. Z tych posiadamy jedną koszulkę żelazną, z kółek misternie wyciskanych i dwie inne niecałe, prostszego wyrobu, rdzą zupełnie zniszczone. Zastanawiając się nad formą, kierunkiem i systemem przyjętym w urządzeniu horoszkowskich wałów, nie możemy przypisać ich usypania odległej przeszłości. Odniesić je wypada, co najwięcej, do ostatnich lat XVIII w., a może kończone były już w XIX wieku. Zatrącenie miejscowego archiwum i wszystkich miejscowych dokumentów, ostatecznie postawiło nas w niemożności badania przeszłych kolei tego miasteczka, jego rozwijania się, wewnętrznego życia i kierunku dążeń jego ludności. Wiadomo tylko, że w ostatnich dziesiątkach XVIII w. Horoszki należały do głośnego w miejscowych dziejach tych czasów sędziego grodzkiego Dubrowskiego. Może do tej też epoki należy powstanie wzmiankowanych wałów. Następnie przeszły Horoszki na własność i stały się czasowem mieszkaniem hr. Kutuzowa Smoleńskiego, i ztąd feldmarszałek ten wezwany został do walki z Napoleonem.

Jeżeli pod względem historii Horoszki niewiele dostarczają wątku do rozwijania naszej pracy, to daleko więcej zajmujące i obfite znajdujemy w nich pole pod względem badań ich skarbów geologicznych. Mamy mówić o olbrzymich, niewyczerpanych pokładach horoszkowskich skał hyperytowych (labrador), stanowiących jedyne tego rodzaju bogactwo na całą kulę ziemską. Nim zaś przystąpimy do opisu samych pokładów, w krótkim poglądzie mamy zamiar dać ogólne pojęcie o naturze i własnościach tych utworów.

Hyperyty są rodzajem skał, pochodzenia plutonicznego, ogniowego. Stanowią je przeobrażenia skał syenitowych, w których, jeżeli zamiast ortoklazu jest labrador, a zamiast amfibolu, hypersten, to tak przeobrażone syenity stanowią rodzaj skał hyperytami zwanych (3). Domieszanie więc do syenitu dwóch wspomnianych minerałów: hyperstenu i labradoru, zamieniających dwa inne, stanowi charakterystyczną cechę hyperytów. Takie skały między innymi znajdują się na Uralu i są tam pospolite, lecz nie odznaczają się pięknnością złożeń; nie należy zatem mieszać ich i za jedno uważać z hyperytami wołyńskimi.

Hyperyty więc uważamy jako rodzaj skał syenitowych, przeobrażonych w nie przez hypersten i labrador. W takim samym znaczeniu pojmował je i uczony Seget, który pierwszy przysłużył się analitycznym ich opisem (4). W opisie tym jednakże Seget nazywa znajdujący się w nich labrador jasnozielonym ortoklazem (5), a same hyperyty, wprost syenitem. Pierwsze odkrycie i wiadomość o znajdowaniu się w naszych stronach hyperytów, zawdzięczamy

byłemu profesorowi szkoły wołyńskiej w Krzemieńcu, medykowi Szyrmerowi. Opisywał on te skały z obnażeń ich na brzegach Bystryjówki, w okolicach Kamiennego-Brodu (6). Ostatnie badania i chemiczny skład tych skał wskazują, że hyperyty wołyńskie, oprócz niezmierniej ilości hyperstenu, a zwłaszcza kryształów labradoru, mają w składzie swym domieszane apatyt, miki, siarczany żelaza, żelazo tytaniczne i kwarc przezroczysty (w Horoszkach przeważająco bezbarwny). Hypersten i labrador stanowią zasadnicze elementa wołyńskich hyperytów. Domieszanie kryształów labradoru, odznaczających się szczególniejszą pięknnością, tak jest w nich obfite, że w potocznej mowie dało nazwę samym skałom, które w całej okolicy zwane są labradorami. Nazwa bezwątpienia niewłaściwa, jako tycząca się w gruncie rzeczy jednej tylko ze składowych części tych skał. Pragnąc jednakże uznać to ogólne jej przyjęcie przez całą ludność miejscową, tak w bieżącym tekście, jako i przy załączonej tu rycinie, obok właściwej ich nazwy hyperytów, położyliśmy przyjętą nazwę labradoru. Kryształy ostatniego minerału, znajdując się w obfitości, dochodzą do 5 cali długości. Pojedyncze kryształy drobne i rzadkie, podwójne zaś są właściwą formą, w jakiej dają się one pospolicie widzieć w naszych hyperytach. Często też zdarzają się zrostki dwóch i trzech bliźniaków-kryształów labradoru, i wtedy stanowią główną pięknność hyperytowej bryły. W postaci ziarn, labrador częściej się napotyka w bryłach zbitego, porfirowatego złożenia. Barwy tego minerału są nadzwyczaj żywe i piękne. Powierzchnie jego kryształów przedstawiają szczególniejszą splątana grę kolorów: zielonego, niebieskiego, błękitnego, złocistego i czerwonego, rozmaicie z sobą pomieszanych. Układ barw jest równoległy między sobą i odpowiada bokom sześciokąta pryzmy którą tworzą. Zwykle środek kryształu zajmuje kolor zielony, przeplatany niekiedy z błękitnym. Żółty i złocisty znajdują się między pręcikami zielonego; czerwony daje się widzieć bardzo rzadko i w małej ilości. Taki układ barw nadaje dziwnie piękne wejście bryłom samej skały, zwłaszcza po jej obróbeniu. Ze zmianą położenia do światła i oka, tęcze te barwy mieniają się i przelęwiają. Szczególniejsze mając podobieństwo do piór pawich, stanowią główną ozdobę i wartość skały. Po wyluszczeniu (oddzieleniu od bryły) używane są na różne drobne wyroby, jakoto: guziki, guziczki, szpilki, zapinki, pierścienie i t. p. W takim użyciu są nadzwyczaj piękne. Przezroczystość ich, połączenia z wewnętrznym przelęwaniem się tęczy barw, przypomina nieco sławny *opal czerwieniński*, a niekiedy *szlachetny fluszpat*. Kryształy hyperstenu naszych hyperytów mają barwę ciemno-brudno-zielono-burą; na spoju blask perłowy, zbliżający się niekiedy do metalicznego. Rzadko zrastają się z kryształami labradoru. Apatyt zjawia się w kryształach wydłużonych. Błyszczki czarnej lub brązowej miki, rozsypane w skale w nieznacznej ilości, zaledwie spstrzegać się dają, nie szkodzą zatem mocy i trwałości kamienia. Siarczyk żelaza w małej ilości, dając odbłask złocisto-metaliczny, przyczynia pięknosci bryłom. Kwarc, który w horoszkowskich hyperytach pospolicie bywa przezroczysty, bezbarwny lub biały, stanowi przeważającą nad innymi składową część skały i służy jej za lepiszcze.

(Dokończenie nastąpi)

(6) Miejsce to (Kamienny-Bród) leży w obrębie kijowskiej gubernii, na samem pograniczu z wołyńską. Z tego powodu hyperyty stron naszych zwane były hyperytami czyli labradorami kijowskimi. Wówczas nie podejrzano nawet aby w gub. wołyńskiej lub w jakimś okolicznym miejscu mogły się jeszcze znajdować skały tego rodzaju i jak się dziś okazało w tak znakomitej ilości. My, badając takowe pokłady, dostrzegliśmy tożsamość żyły hyperytowej horoszkowskiej z kamiennobrodzką (jak o tym niżej wspomniemy), która na przestrzeni między temi dwoma punktami jej obnażeń, ukryta jest pod powierzchnią gruntu. Oprócz tego m. Horoszki uważamy za punkt samego wybuchu podziemnego, który wewnętrznym swym parciem utworzył pęknięcia w tutejszej skorupie granitowej, i szczeliny tego pęknięcia napęlił stopioną masą hyperytów, formując tém dwie żyły idące od Horoszek, jedną na P. W. w kierunku rzeki Irszy, drugą na W. do Kamiennego-Brodu. Z tego powodu wszystkie znane dotąd w naszych stronach hyperytowe skały, chociaż niektóre leżą za obrębem gubernii, chcemy uważać za wołyńskie i nazywać je hyperytami wołyńskimi.

## Przegląd polityki zagranicznej.

21 czerwca.

Wyjazd dostojnych gości z Paryża odwrócił uwagę powszechną od wystawy i uroczystości i skierował ją ku Wschodowi, kędy wszystkie stosunki tak są wyteżone, iż nikt już nie wątpi że rozwiązanie tej kwestyi jest nieuniknionem. Półrządowe pisma francuzkie, głównie zaś Etendard, zapewniają, że w dniu 15 b. m. przedstawiciele mocarstw przesłali Porcie notę zbiorową, domagającą się zarządzenia śledztwa na Kandy. Przypuszczając że to fakt i że Porta zgodzi się na żądanie stawione przez mocarstwa, zachodzi pytanie czy śledztwo to będzie dostatecznym do zaspokojenia zobopólnych życzeń Greków i Turków. Okrucieństwa jakich dopuszcza się Omer-basza, według świadectwa telegramów, na Krecie, ucisk jakiego doznają Bułgarowie, wrzenie wreszcie w łonie samego islamizmu, wszystko to zpowiada powolne konanie tureckiego społeczeństwa. Gazeta augsburska powiada, że nota zbiorowa do niczego nie doprowadzi i wróży nieodwrotny a blizki upadek państwa otomańskiego. Według tej gazety, szerokie powstanie przygotowywa się w Bułgarii i w górach bałkańskich, którego skutkiem będzie odpadnięcie wszystkich prowincyj europejskich od Turcyi; Tesalia i Epir przyłączą się do Grecyi, a Słowianie i Rumunowie ogłoszą swą niezawisłość. Z Aten donoszą, że w ostatnich czasach trzy tysiące ochotników udało się na Kandyę i złączyło się z powstańcami, którzy teraz stoją trzema obozami przeciw Omerowi-baszy. Sułtan i wice-król Egiptu spodziewani są wkrótce w Paryżu. Jourdes Debats robi złośliwą uwagę o kwitującym stanie finansów tureckich, z powodu że koszta podróży padiszacha wynoszą około 10,000,000 fr.

W tych dniach rząd francuzki złożył ma ciału prawodawczemu korespondencye i dokumenta dyplomatyczne, dotyczące kwestyi luksemburskiej. Sprawa więc ta znowu zajmie na czas jakiś dziennikarstwo francuzkie, które, pomimo polepszenia stosunków Berlina z gabinetem tuileryjskim, zachowuje dawniejszą względem Niemiec nieufność. Dzienniki pruskie ze swjej strony nie dowierzają Francyi i utrzymują że gdy tylko Austria załatwi się z kłopotami wewnętrznymi, pierwszym jej krokiem będzie rzucenie się w objęcia Francyi, i że oba ta mocarstwa postawią sobie za cel przeszkodzenie Prusom w dokonaniu jedności niemieckiej. Zdaje się jednak iż przypuszczenia te sięgają zbyt daleko.

Monitor francuzki doniósł w tym tygodniu, że cesarz Napoleon jest lekko chory i że z tego powodu nie mógł przyjmować księcia badeńskiego i hr. Flandry z ich małżonkami. Królowa hiszpańska, wraz z małżonkiem i księciem następcą tronu, wybiera się do Paryża, dokąd udaje się także i prezydent Stanów Zjednoczonych, p. Johnson. Półrządowe dzienniki francuzkie cieszą się z tego, utrzymując że rząd francuzki wpłynie na prezydenta i skłoni go do energiczniejszego zajęcia się losem cesarza Maksymiliana. W rzeczy samej, nie wiadomo pewnego o tym nieszczęśliwym monarche i wielka dotąd panuje obawa, aby się nie stał ofiarą fanatyzmu Meksykanów. O podróży cesarza Napoleona nie także pewnego nie wiadomo; zdaje się tylko iż wyjazd tego monarchy przed końcem sierpnia nastąpić nie może.

Według duńskiego dziennika Dagbladet, rząd pruski rozpoczął układy w kwestyi szlezwickiej, jednocześnie z zebraniem się konferencji londyńskiej. Poseł pruski w Kopenhadze zawiadomił hr. Frys, iż na zasadzie traktatu pragskiego północne powiaty Szlezwiwu zwrócone być mają Danii i dał do zrozumienia że to nastąpić może, jeżeli Dania przyjmie na siebie część długu szlezwiu-holsztyńskiego i da rękojmię ochrony żywiu niemieckiego w odstąpionych powiatach. Gabinet kopenhagski odpowiedział, że układy są niemożliwe, skoro Prusy stawiają warunki niepodobne do spełnienia i nie określają stanowczo linii granicznej, po za którą przeprowadzone być ma głosowanie powszechne.

Na posiedzeniu rady państwa w Wiedniu w dniu 17 b. m., minister wojny przedstawił izbie do zatwierdzenia nowe prawo o służbie wojskowej; p. Beust zaś złożył dwa projekta: jeden celem znie-

(3) Podług F. S. Beudant'a.

(4) W Bullet. Scientifique de l'Académie de St. Pétersbourg, T. VII, Nr. 3.

(5) Labrador, jest to minerał odkryty w Ameryce, na półwyspie Labradorze, od którego otrzymał nazwę.



sienia art. 13 ustawy lutowej, który dozwalał gabinetowi wydawać prawa i rozporządzenia podczas wakacyj sejmowych; drugi zaprowadzający odpowiedzialność ministrów przed izbą.

**Ostatnie depesze.** *Konstantynopol, 20 czerwca.* Fuad basza oświadczył na radzie ministrów, iż przedstawi wkrótce notę zbiorową, w przedmiocie powstrzymania kroków nieprzyjacielskich na wyspie Kandyi. Sułtan wyjeżdża do Paryża jutro.

*Paryż, 20 czerwca.* Presse powiada, że Prusy panują w Niemczech militarnie, politycznie i ekonomicznie, i że nie złamały warunków traktatu praskiego, lecz usunęły je.

*Paryż, 18 czerwca.* Monitor donosi, że cesarz Napoleon z powodu cierpień reumatycznych pozostawał przez dwa dni w łóżku, ale że zdrowie tego monarchy zupełnie jest przywrócone.

(W. T. B. Schles. Ztg. France. Ind. Bel. Jour. d. Deb.)

## Kronika tygodniowa.

Z korespondencji jaką przed kilku dniami otrzymaliśmy, można się przekonać, od czego zależy u nas prenumerowanie lub nieprenumerowanie gazet.

Oto corpus delicti.

„Przedmiot który posłużył mi za tekst dzisiejszej mojej korespondencji, nie jest bynajmniej nowy, nieraz już pisano o nim, ale zawsze bezskutecznie. Opisuję tu podsłuchaną rozmowę, którą może niektóre względy światowe nakazywałyby mi zatrzymać przy sobie, ponieważ jednak, nie znając ani osób, ani miejsca działania, tém samém wolny jestem od zarzutu stronności, umyśliłem całą rzecz podać do wiadomości twojej, panie kronikarzu, tuższąc że będziesz umiał z tego stosowny wyciągnąć użytek. Przedmiotem rzeczonyj rozmowy był zrazu interes pieniężny, i tylko gwałtowny przeskok sprowadził rzecz na inną materję, świadczącą w części chociaż o nieszczęśliwym stosunku nauczycielek do dzieci w domach prywatnych. Wypadek to wprawdzie pojedynczy, ale chciój mi pan wierzyć, że w wielu miejscach powtarzają się tego samego rodzaju fakta.

„Rozmowa, jak powiedziałem, toczyła się w interesie pieniężnym. Kwestya zachodziła co do papierów, które wysłane pocztą, nie doszły na termin; ztąd słusznie narzekania na nieregularne dochodzenie poczty, na zwłokę, a wreszcie na trudności i mitręgę w posyłce na pocztę. Z przyczyny tego ostatniego punktu interesant został zagadnięty, że zapewne nie musi doświadczać trudności w posyłce po papiery, gdyż ta się załatwia przy odbieraniu gazet:

„Odpowiedź była następująca:

— He! he! mój dobrodzieju, toć to cała historia z temi gazetami. Jeszcze w zeszłym roku umówiliśmy się z sąsiadem, że będziemy trzymać gazetę na spółkę. Ha! pomyślałem sobie, nieźleć to będzie wiedzieć co się w świecie dzieje. Więc wysłałem dwa razy w tydzień owczarka na stacyą pocztową i było tak do jakiegoś czasu. Wkrótce jednak sąsiad podziękował mi za spółkę, nie wyjaśniając właściwego powodu zerwania takowej; ale ponieważ przyzwyczaiłem się do gazety, trzymałem ją sam dalej. Trzeba jednak panu wiedzieć, że u sąsiada tego była guwernantka...

„Tutaj, spodziewając się coś arcy zabawnego usłyszeć, a nawet podejrzewając autora opowiadania o odegranie jakiej czynnej roli w tej sprawie, natężyłem słuch z zajęciem i usłyszałem co następuje:

— „Otóż, mój mości dobrodzieju, ta guwernantka lubiła czytać gazety, i kiedy sąsiad przestał je prenumerować, udała się do mnie z prośbą, żeby jak się zbierze kilka numerów, przesłać jej takowe do czytania. Ja tam nie byłem koniecznie od tego, bo co mi po starych papierzyskach, a niewielkie znów rzeczy raz na tydzień przysłać lub zawieźć przy odwiedzinach. Było jednak tego bardzo niedługo, sąsiad bowiem umyślnie przyjechał i począł mnie zaklinać na czém świat stoi, ażebym zaprzestał przesyłki gazet, bo guwernantka przez cały dzień nic nie robi, tylko siedzi w papierach, a dzieci próżnują. A że to człowiek jakoś miękkiemu sercu i krwiby sobie dał upuścić dla dobrego sąsiada, a nie dopiero kiedy idzie o taką bagatelę, niedługo myśląc,

przestałem prenumerować, ażeby wyjść jakoś z kolizji. Zgoda sąsiadzka, mój dobrodzieju, więcej znaczy aniżeli to głupie czytanie, z którego koniec końców nic człowiekowi nie przyjdzie.

„To mówiąc, zacięła ręce i śmiała się, wielce zadowolony z siebie, jak gdyby rzeczywiście znalazł się arcy dowcipnie w tym wypadku.

„Nie myślę, panie kronikarzu, tłumaczyć ci sensu moralnego, który sam widnieje w tém opowiadaniu. Dziwne zaiste wyobrazenie o wartości pieniędzy i pracy za nie kupowanej, dziwniejsze wymagania, ale najdziwniejsza może obojętność.

„Kończę rzecz moję, wąpiąc ażeby te wyrazy doszły do stron interesowanych, bo nie wiedzą tam zapewne o istnieniu Tygodnika Ilustrowanego, a jeżeli wiedzą, to uważają publikacyą tę jako za nadto zbyt kowną, a przytém zamało użyteczną, ażeby trudzić owczarka po nią dwa razy na tydzień i dawać guwernantce nowe pokusy do złego, z krzywdą edukacyi dzieci.“

Może nie drukowalibyśmy wcale tego listu, gdyby nie uwaga, że tego rodzaju wyobrażenia nie chodzą u nas pojedynczo, lecz mogą śmiało legia się nazywać.

\* \* \*

A teraz do innej korespondencji.

„Racz nam pan łaskawie wyjaśnić, dlaczego niektóre pisma uwzięły się na przedstawianie tutejszych świątyń Pańskich w postaci sal do koncertów. Każdego dnia po niedzieli i święcie czytamy regularnie, że tam grano mszę, owdzie wykonano kwartet na same głosy i t. p., słowem jak na popis; o kazaniach zaś ani wzmianki..... i t. d.“

Zarzut wydaje nam się niezupełnie słusznym, onabożeństwach bowiem uroczystych donoszonym bywa regularnie, zaś co do kazania, nie miejsce w pismach codziennych dawać o nich sprawozdania, bo to tylko w organach wyłącznie celom religijnym poświęconych byłoby właściwem.

Nie tu miejsce także rozpoczynać rozprawy, jaką właściwie rolę muzyka odgrywać może i powinna przy uroczystościach kościelnych. Nie przeczymy że dla wielu służy ona za powód do roztargnienia; że znajdują się tacy, których piękna i dobrze wykonana muzyka zwabia do świątyni Pańskiej; że w istocie zauważyć można, iż podczas muzyki większy bywa natłok w kościołach, aniżeli na mszach cichych. Ale z drugiej strony nabożeństwo katolickie wymaga czasem tego rodzaju wystawności obrzędu i nie można w żadnym razie mieć za złe ani chętnym amatorom i artystom, którzy zdolności swoje na chwałę Bożą poświęcają, ani pismom które o tej zasłudze bezimiennie donoszą. Najrozgłośniejsi kompozytorowie, stanowiący zaszczyt i chwałę świata muzycznego, nie pożałowali talentów i pracy na utwory religijne, z których część znaczna, nacechowana wyższą wartością, zyskała europejską sławę. Że sztuki piękne pragną także mieć swoją część zasługi w służbie Bożej, dziwić się temu nie można, a tém mniej gorszyć się, że ludzie najpiękniejsze swoje zasoby na tak święty cel obracają, że poeci, muzycy, malarze czynią Bogu ofiarę z talentów przez Niego im nadanych. Cóż może być piękniejszego jak hymn religijny śpiewany przez usta całego tłumu pobożnych, i wąpimy ażeby to było komu przeszkodą w nabożeństwie. Toż samo i do innych muzyk kościelnych zastosować można. Ci których śpiewający na chórze za nadto ze szkodą modlitwy zajmują, możeby bez tego wcale do kościoła nie przyszli, a któż nie wie jak zbawienny wpływ wywiera i na najobojętniejszych widok szczerze modlącego się ludu? Więc zdarzyć się może iż ściągnięci początkowo muzyką, przyjdą z czasem i dla samego już tylko nabożeństwa i wysłuchają przykładnie kazania zaleconego przez korespondenta, o którym nie potrzeba ogłaszać, gdyż i bez tego wiadomo, że w stałych terminach odbywa się ono o jednej godzinie we wszystkich kościołach podczas dni świątecznych i uroczystych.

\* \* \*

O loteryi fantowej w Saskim ogrodzie rzecz już spóźniona i bardzo spóźniona nawet, a jednak wspomnieć o niej trzeba. Wprawdzie sprawozdania z zabaw tego rodzaju możnaby bezpiecznie z roku na rok przepisywać i nie omyliłyby się bardzo ktoby tak chciał czynić. Trochę zmian w nazwiskach dam

zasiadających przy namiotach, w opisie strojów zapełniających ogród, ot podobno wszystko. Zawsze bilety wejścia się sprzedadzą, rozkupią się fanty i los kapryśny będzie zawsze. I tym razeni wyprawił on kilka dość dziwnych fantazyj, pomiędzy którymi jedna doszła do naszej wiadomości.

Jakaś pani, zakupiwszy los na loteryą fantową, nie mogła się żadną miarą docisnąć do koła w którym ciągnięto numera. Więc spostrzegłszy dziesięcioletniego chłopaczka, który z ciekawością i pożądlivością przypatrywał się temu rozdawnictwu cacek rozlicznych, poprosiła go żeby wyciągnął numer za nią. Chłopak sprawił się w jednej chwili i to tak szczęśliwie, że przyniósł numer wygrywający, za który owa pani otrzymała fant wartości kilkunastu rubli. Przez wdzięczność więc dla tego dostarczyciela fortuny, pani owa udzieliła mu parę rubli, żeby już tym razem popróbowował losu na własny rachunek. Chłopak pobiegł do koła i sumiennie za całą otrzymaną w darze sumkę zakupiwszy biletów, wyciągnął..... same tylko nity. Można sobie wystawić zasmucenie biedaka, dla którego raz tylko los wysilił się na cudzy rachunek.

Przy wyjściu z ogrodu słyszałem następującą rozmowę.

— Czy wiesz kto najwięcej wygrał na dzisiejszej loteryi?

— Zkądże mam wiedzieć?

— No, przecie.

— I wąpię żeby ktokolwiek wiedział. Chyba ubodzy, bo dla nich zysk cały.

— Nie bierzesz zapytania mojego dosłownie. A ja wiem kto.

— I któż taki?

— Muzyka.

\* \* \*

Umarł jeden z najzasłużeńszych tutejszych filologów, pod którego kierunkiem kształciło się kilka naszych młodych pokoleń. Jan Jakub Sz wajnic był zawsze lubiany i wysoko ceniony przez wszystkich swoich uczniów, a to niemałą już jest zaletą, w młodzieży bowiem tkwi jakiś instynkt, dający jej oenić podług zasług tych, którzy szczerze i serdecznie prawdziwe jej ukształcenie mają na celu. Wiadomo że profesorowie języków starożytnych są zwykle postrachem studentów. Żadnym sposobem w tych młodych głowach zmieścić się nie może, żeby zmarłe języki, które potem na praktycznej drodze życia tracą swoją szkolną doniosłość, miały być niezbędne do wykształcenia. Każdemu z tej młodzieży stoi na oczach żyjący przykład ojca, wuja, brata starszego. Wszak i oni uczyli się kiedyś po grecku i po łacinie, a jednak w krótkim czasie zapomnieli tej nauki i w rozwiązaniu najpowszedniejszych nawet ćwiczeń dopomódz nie mogą, więc co po tej zmuśnej nauce, kiedy ona na dalszej drodze życia w las pójdzie? A przytém filolodzy, zatopieni w swoim przedmiocie, żyją często jak gdyby obcym życiem; świat ten utracą dla nich zwykle swoje barwy, zatapiają się w dalekiej przeszłości, przez nią tylko widząc i czując, w niej tylko upatrując prawdziwe piękno i pożytek.

Nie takim jednak był Sz wajnic. Wiedział on że nauka wówczas tylko rzeczywiście korzyść przyniesie, kiedy połączymy ją z praktyczną znajomością bieżących potrzeb i wymagań. Umiął więc swój wykład urozmaicić, uobrazować, uczynić zajmującym, a starożytności przez niego wykładane, starczyły za bardzo zajmujący opis. Wiedzano że jest sprawiedliwym, surowym nawet w potrzebie, co nie wykluczało w nim jednak wielkiego pobłażania dla usterek młodemu wiekowi właściwych.

I kiedy pod koniec życia, złamany pracą, pochylony wiekiem, zruinowany na zdrowiu, przechodził przez ulice miasta, spotykający go ludzie młodszy, choć dojrzały już i osiwiali nawet, poznawali w nim ukochanego niegdys profesora. Więc witaliśmy Sz wajnicę gorącym uściskiem ręki i serdecznym słowem, a on poznawał z nas każdego, i dla każdego znajdował zawsze kilka słów ojcowskich, wypytując się o dalsze jego losy. Ze śmiercią jego znikło dla wielu z nas jedno z tych serdecznych wspomnień młodości, które niestety! coraz stają się rzadszemi. Obszerniejszy życiorys Sz wajnicę Tygodnik wkrótce zamieści.

\* \* \*



W Płocku odbyło się niedawno przedstawienie amatorskie na cel dobroczynny. Grano „Nikt mnie nie zna,“ „Pierwój mama,“ „Pan Stefan z Pokucia.“ Wybór dobry, grano udatnie, więc też przedstawienie odniosło pożądany skutek, bo sumka zebrała się spora.

Coraz więcej wchodzi u nas w użycie zasilanie funduszy dobroczynnych za pomocą zabaw scenicznych. Jest to najlepszy i najskuteczniejszy podobno sposób zbierania od ludzi jałmużny; dobrzeby jednak było gdyby ktoś postarał się u nas o urządzenie stałego repertoaru utworów scenicznych, mogących być z powodzeniem odegranymi na amatorskich przedstawieniach. Boć tu o wybór głównie chodzi, a wybór rzecz niełatwa; do samych zaś sztuk nawet dostać się trudno, niewiele z nich bowiem ogłoszonych było drukiem, a teraz jeszcze mniej niż kiedykolwiek wychodzi. Nie mówimy już o przekładach, ale oryginalne, z powodzeniem nawet grane, pozostają w rękopismach. I nie dziwić się temu; wydawcy bowiem, nie mając żadnego zapewnienia odbytu dla swoich nakładów, unikają niezawodnej prawie straty. Ale jakież-bo dzieła idą w handlu księgarskim? Nic nie popłaca, ani piśmiennictwo nadobne, ani nauka, ani nawet książki dla dzieci, które dawniej za dobry interes uważać można było, obecnie zaś dość tępo się rozchodzą. Co może, znajduje jeszcze schronienie po pismach peryodycznych, ale na książkach prawdziwe przekleństwo leży.

Wracając do płockiego teatru, dodać musimy że urządzony on dość składnie, jak na miasto drugorzędne, i przy kilku odnowkach i przeróbkach, na które nawet niewielkich nakładów trzebaby użyć, mo-

że stać się bardzo wygodnym pomieszczeniem dla stałego towarzystwa artystów. A szczerze mówiąc, Płock starczy na utrzymanie takiego towarzystwa; publiczność bowiem miast naszych staje się coraz żądniejszą widowisk scenicznych, które należą do najmiłszych i najpożyteczniejszych rozrywek.

idąc od Warszawy. A kiedy kurz lub wiatr nie pozwalają usiąść po tej stronie, po drugiej niema gdzie spocząć, choćby nogi odpadły. Podobnie, pomimo zasadzonych drzewek w alei Jerozolimskiej, niema choćby kilku ławek na ogromnej przestrzeni od Wisły do rogatek Jerozolimskich. Dla jakich to powodów, nie mogliśmy dociec.

W ogrodzie Saskim nastawiono dosyć ławek, ale czy to dla jakiejś pamiątki archeologicznej, czy z innych powodów, przy murze pałacu Zamojskich i Brylowskiego pozostawiono ławki stare. Toby jeszcze uszło; ale te ławki, rozgrzane południowym słońcem, wypuszczają z siebie żywicę, wybornie walającą odzież tych, którzy ufni w oględność administracji ogrodowej, nie sądzili ażeby chwilowy spoczynek opłacać trzeba było płamieniem sukien, coraz niestety droższych.

Dziwna rzecz, że w Warszawie, gdzie tylu ludzi uskarża się na brak zarobku, nie przyswoiło się dotychczas jedno rzemiosło uliczne, używane z powodzeniem po większych miastach zagranicznych. Mówimy tu o wynajmowaniu krzeseł składanych. Krzeseł tych po kilka naraz zabrać można, i stanawszy w dogodnym punkcie przechadzkowym, wynajmować je przechodniom szukającym spoczynku, a nie wiedzącym gdzie go znaleźć. Każdy w takim razie dla odpoczęcia kilka gro-

szy poświęci. Takim procederem mogłaby się trudnić kobieta z równą dogodnością jak mężczyzna; kapitał wkładowy niewielki, a zresztą za poręczeniem można by krzeseła takie otrzymać na kredyt. Opłaciłoby się to sownie, a same aleje i cała tamta strona miasta podczas letniej pory dużo zarobku daćby mogły.



JASZCZURÓWKA.

\* \* \*

Otrzymujemy następną korespondencją.

„Czy z powodów higienicznych, moralnych, czyli też innych jakich, administracja miejska opatrzyła aleje belwederskie ławkami tylko po lewej stronie,



Raźne parobczaki na szczudłach przepławiali się przez rzekę.



## OBRAZY Z ŻYCIA I NATURY,

przez Wincentego Pola.

(Z rysunkami J. Kossaka  
i A. Schoupp'ego).

### II.

#### Na wodach.

Odwiecznych Tatrów straż-  
[nice śniegowe!  
Zdawnąście znane, a wie-  
[cznościście nowe;  
Choć myśl i oko przy was  
[się upaja,  
Myśl i źrenica wiecznie tu-  
[taj gością.  
Z wami przenigdy myśl się  
[nie oswaja,  
Jak nie oswoi się nigdy z  
[wiecznością;  
Bo nie wziąć myślą co oko  
[zakreśli,  
Ani wziąć okiem co ogarną  
[myśli,  
Ani was ująć, ni duchem  
[wyświecić,  
Ni w was się wcielić, ni nad  
[was wylecić;  
Tu hardość] ducha mierzy  
I rozegrana — bo nikomu górą....



NAREMNICA.

Było to w Tatrach, i słońce chyliło się już nad  
turnie. Dzień był gorący i niemiła parota zawisła  
burzą nad Tatrami.

Od kilku dni napływały chmury od Węgier, południowym wiatrem niesione, i przedarły się przez  
szczyty turni, zawisły na reglach, nie mogąc się ani  
ochłodzić, ani wylać deszczem. Nawet noce nie

[się z naturą,

orzeźwiały powietrza i jakaś ocieężałość pętała członki  
i myśli....

Przed wieczorem doszliśmy do Jaszczurówki, po-  
łożonej na samem podnóżu reglów, w ciemnym ostę-  
pie starego świerkowego lasu, pomiędzy skałami.

Dziwnie to ponure miejsce, a przy dniu w burze  
ciężarnym i parnie zachmurzonym, wydało się ono  
jeszcze więcej ponurém.

Jaszczurówka, jest to przestrzeń kilkudziesięciu

czurce całymi godzinami. Cóż to za ruch żywy! cóż  
to za zwinność i obrotność! cóż to za prześlizgane  
te oczka maleńkie, czarne, tylko do ócz gazelli i  
arabskiego konia podobne! cóż to za swoboda obro-  
tów tego krokodyla w miniaturze! Ale nic brzyd-  
szego nie znam jak salamandra. Jest to tłusta,  
ciężka, niezgrabna jaszczurka, czarna, ślizką skórą  
powleczone, nakrapiana pomarańczowymi platkami;  
łeb okrągławy i tłusty, nóżki krótkie jak u kreta,

sążni kwadratowych, gdzie  
z płytkiego niby jeziorka,  
zawalonego wielkimi bry-  
łami skał, dobywa się źró-  
dło ciepłe. Jaskier i rze-  
zucha wodna porasta tu  
bujnymi kępami, a odłamy  
skał okryły się skorupami  
mchu i liszajców różnego  
koloru. Roślinność ta bo-  
wiem nie zaumiera tu i w  
zimie, ale ciepłem źródła  
podsycana, trzyma się świe-  
żo. Nawet wówczas gdy  
zwaliste śniegi okryją ca-  
łe podnóże Tatrów, nawet  
wówczas zielenią się te ja-  
skry i rzezuchy pomiędzy  
skałami, jak oaza na bia-  
łych piaskach pustyni, a  
parne mgły wznoszą się z  
tego jeziorka, które się ni-  
gdy nie pokrywa lodem.

Znaną jest mityczna po-  
wieść o salamandrze, że  
w ogniu nie ginie. Otóż  
nad tą powieścią zaduma-  
ny, przypatrywałem się dłu-  
go całemu gniazdu sala-  
mandr, które się w Jaszczu-  
rówce gnieźdzą.

Nieraz przypatrywałem  
się naszej pospolitej jasz-



Woda niosła potopione bydłeta, trumny i kolébki.



bokiem wykrecone; oczy mają wyraz głupiego płazu, tępe i zamdlone; ruchy powolne, leniwe, niezgrabne, obrzydliwe nawet.

Na głazach Jaszczurówki wychylają się one z wody i leżą po całych godzinach bez ruchu, a kiedy je nocny szron tam zaskoczy, tężeją od zimna i zamierają niby.

Cóż dziwnie mistycznego, ale i niemilego zarazem ma widok tej Jaszczurówki i gniazdo odwieczne tych salamandr, które tam w każdym czasie i w każdej porze roku znaleźć można w wielkiej liczbie.

Dnia tego o którym mowa, spostrzegłem że salamandry pełzły od Jaszczurówki we wszystkich promieniach ku powyższemu skałom, opuszczając gniazdo swoje. Od strony skał nie można było obejść Jaszczurówki, w obawie aby co krok nie stąpić na salamandrę. Zastanowiło mnie to bardzo i pytałem górala coby to znaczyło.

— Będzie psota, panie, i to długa. Od Węgier nagnało ciepłych chmur, że od paroty oddychać trudno, a kiedy te jaszczury pełzną ku skałom, to znać się boją powodzi, boją się żeby ich woda nie zabrała z sobą, bo będzie psota i psota wielka, ale nie zaraz jeszcze. Jaszczury czują najwcześniej słotę, bo to temu nie sporo, to kilka dni leżcie, zanim się do bezpiecznej skały dostanie, gdzie się już wody bieżącej nie boi.

Niekoniecznie chciałem wierzyć temu, i jeszcze dnia tego pojechałem do Kościelisk na nocleg do leśniczówki, w myśli wycieczki nazajutrz na Pyszną. Towarzysz podróży czekał już na mnie w Kościeliskiej dolinie i już poczynił w leśniczówce przygotowania do kilkodniowej podróży w turnie.

Mieliśmy tą razą zwiedzić Starą-Robotę, Ornok, Pyszną, Smereczyny i przez Przełęcz Tomaniarską przeprowić się do Węgier.

Jako nazajutrz wybraliśmy się już niebardzo rano, bo mgły wielkie leżały w Kościeliskiej dolinie. Gdy się mgły nieco podniosły, ruszyliśmy niepewni, czy nie powrócimy na obiad napowrót do leśniczówki. Nasi przewodnicy nie wróżyli bowiem pogody i ociągali się bardzo i z wybraniem się w drogę i w drodze.

Uderzało mnie to, czegom dawniej nigdy nie spostrzegł, że co chwila podrywały się pstragi w potokach i mignawszy srebrną błyskawicą, przerzucały się przez kamienie wielkimi rzutami w górę pod wodę. Gdy się to raz i drugi i dziesiąty powtórzyło, stanęli nasi przewodnicy i powiadają nam:

— Myśleliśmy że obegnemy przed słotą na Pyszną, ale nic z tego nie będzie, bo nie dojdziemy nawet do Staréj-Roboty. Będzie psota, kiedy pstrąg tak idzie w górę i tak się bardzo niepokoi; będą wody naremne i wracać trzeba. Ale żeby z próżnemi nie wracać rękoma, to sobie tu na szalasi pożyczym konewki, a nabierzem pstrągów po drodze, bo aż się same proszą.

Wracając z szalasi; jeden z przewodników podbiegł na wysoką skałę i szukał widocznie czegoś między roślinami, a wróciwszy powiada nam:

— Tuligłówka trwoży się na słotę, trzeba uciekać do domu.

I pokazał nam zwój wielkiej rośliny, która się wije i pnie po skałach, a przed słotą okręca się mocniej i przymruza kwiaty; ztąd też jest u górali *tuligłówką* nazwana (*Atragea alpina*).

— My nałapiem coś pstrągów, a panowie idźcie przodem. Niema rzeczy. W turniach już deszcz leje i mokre chmury wałają się doliną.

Górale rozróżniają mokre i suche chmury, a dostawszy się między mokre chmury, można tak zmożnąć między niemi, choć deszczu niema, jak gdyby deszcz padał.

Tą razą wszakże wylały się wszystkie chmury deszczem, potoki poczęły przybiierać, i gdyśmy na leśniczówkę wrócili, szumiał już gwałtownie Dunajec spieniony...

Dobra to zabawa przy pstrągach i kominku, kiedy taka słota w turniach, bo nie wyborniejszego jak ogień w Tatrach, do którego rad człowiek ucieka gdy słota i nie wyborniejszego nad świeżego pstrąga, posołonego tylko i pieczonego na żarze.

Zabawiliśmy się z góralami i z rodziną leśniczego jak można było najlepiej; ale deszcz nie ustawał, a od wieczora nadciągnęła letnia burza z piorunami i błyskawicami, które były tak gwałtowne, że nikomu nawet na myśl nie przyszło ułożyć się do snu.

Gdy po krótkiej nocy odniało (bo było to w początkach lipca), nie ustawała burza, lecz posunęła się tylko nieco ku wschodowi, a deszcz ulewny zdawał się wolnieć na chwilę.

Wyglądaliśmy przez okna jak czyścowe dusze, wyczekując polepszenia losu, ale daremnie.

— On nie ustaje, on tylko wypoczywa sobie, mówili przewodnicy, będzie naremna. Jeżeli panowie nie macie myśli zabawić tu dni kilka, to tylko siadać a jechać co siły, bo woda na potokach wzbiera i do wieczora przybędzie wody na Dunajcu, że go już nie zbrodzić.

Prawdę mówili górale, dobrze wróżyły salamandry, nie darmo trwożyły się pstragi, nie darmo zamknęły się kwiaty tuligłówki przed burzą, bo na ostatnich brodach i potokach ledwo żeśmy już przebrnęli, siadając na konia, a nakładając kamieni do wózków, aby ich nie przewróciła i nie porwała woda.

Gdyśmy do Czarnego-Dunajca przybyli, zastaliśmy całą ludność na wysokim brzegu. Cała wieś wyległa w trwodze o bydło i trzody będące na paszach z wodą, a woda rosła z każdą chwilą i strach było żeby się nie potopił statek. Rażne parobczaki przeprowiały się na szczydach przez rzekę i straszno było patrzeć, jak kroczyli wśród łomów kamieni i spienionych prądów, bo każdy krok pochybny groził tu śmiercią.

Parobcy ci przeprowiali się przez rzekę, by poratować pasterzy, którzy po drugim brzegu z bydłem i trzodami stali, a każdy z nich miał zapasne szczydło, bo już i pasterze mogli się także tylko na szczydach przeprowić napowrót do domu przez rzekę.

Bydło przepędzano tylko małemi częściami, owce takimi stadkami jak się razem pasły, a za każdym statkiem kroczyło dwóch lub trzech parobków na szczydach, kierując go żerdziami.

Brzeg na którym ludzie stali był wysoki; owce wyrwały się rażno z wody, ale bydło spadało z brzegu, który się obsuwał, i woda unosiła je coraz wyżej.

Tu przyszło mi tedy podziwiać zręczność, przytomność i odwagę górali.

Silne tyki, zakończone ostremi widełkami, wkręcali w grzywę koni i w ogony bydła, a na rogi zarzucali po takich tyczkach siłki z lin i sznurów tak zręcznie, iż koń lub bydło, niby w kleszcze chwyczone, podnosiło się z wody i zaratowane siłą ludzką, wydobywało się na brzeg.

Nie mieliśmy zamiaru zostawać w Czarnym-Dunajcu, a słysząc że się na długą słotę zanoszą, chcieliśmy pośpieszyć do Szczawnicy, gdzie wielkie towarzystwo kąpielowe zebrane dawało nam nadzieję, że i w czasie słoty można będzie użyć towarzyskich przyjemności.

Wypadało tedy śpieszyć. Przesiadłszy się na świeże wózki, pędziliśmy co wysok po równym, bitym gościńcu; prowadzącym na Nowy-Targ do Czorszyna.

Szum Dunajca dolatywał nas w ciągu całej tej podróży, bez względu prawie czyśmy się od niego oddalali, czyśmy się zbliżali do niego.

Noc zapadła ciemna i deszcz sznurkowy puścił się ciurkiem. Tak nawalne deszcze nie są znane w kraju równym, ale tylko przy alpejskich i przy zwrotnikowych krainach.

Nad ranem prawie stanęliśmy w Ostrowsku, przemokli do nitki, i dalej jechać nie było już sposobu.

W Ostrowsku, w dużej gospodzie na głównym trakcie Nowotargkiej doliny, było już dużo ludzi zebranych przed świtem. Gospodarze naradzali się ze sobą, co robić na to i na owo, gdzie paść bydło w czasie powodzi, jakby jeszcze sprowadzić statek który za wodą pozostał, gdzie upiąć zapasne spławy drzewa leżące na brzegach, aby ich powódź nie zabrała, słowem, około wielkiej karczmy była cała wieś w ruchu, a wójt wraz ze starszymi z gromady wydawał rozkazy.

Wielkie ognisko gorzało na izbie przed piekarskim piecem, w którym pod chleb palono.

Przebrawszy się, grzaliśmy się przy tém ognisku, a dzień poczynało na świecie.

Deszcz nie ustawał, lecz owszem zdawał się powiększać co chwila. Zlewa szumiała po dachu wielkiej karczmy i coraz nowe tworzyły się potoki po polach, po łąkach i drodze.

Dalej jechać nie było sposobu i górale nie radzili się ruszać z karczmy, mówiąc że na potokach nie przejdziemy nawet do Krościenka, a cóż dopiero przez Dunajec do Szczawnicy.

Dwie doby tedy siedzieliśmy w karczynie w Ostrowsku, a deszcz nie ustawał ani na chwilę.

Był to dzień trzeci ulewnego deszczu i przed wieczorem przybyły *naremne wody*.

Dla przypatrzenia się całej okolicy w czasie powodzi, zajęliśmy na strychu dwa dymniki, z których się rozległy odkrywał widok na Tatry i znaczną część Nowotargkiej doliny.

Pod wieczór gromadziło się coraz więcej ludzi do karczmy, bo tylko mурowany gościniec, który się w sposobie grobli wynosił ponad pola i łąki, służył jeszcze do komunikacji.

Szmaragdowa zieleność doliny, osnutęj tysiącem mniejszych i większych potoków, które się z sobą łączyły tworząc małe jeziora i których wody w różne strony przewalały brały, była w wieczornej zorzy podobna do zielonej gazy, naszytej srebrną tkaniną. Wszystko zdawało się drżać i pływać w tej srebrnej zieleności, a Dunajec szumiał tak straszliwie, że od tego szumu i drżenia ziemi trwożyli się ludzie i ryczało bydło....

Niezwykła jasność zaświeciła już samym wieczorem wązkim pasem nad Tatrami.

— Żle! rzekli górale, to Węgierka tak świeci na słotę.

Kilka razy zdało mi się w ciągu dnia, że poznaję mewy po locie, które się z wrzaskiem tłukły w powietrzu. Nie ufałem wszakże sobie; lecz kiedym górali zapytał co to za ptaki, rzekli mi:

— To morskie ptactwo.

Na dziesięć dni, a nawet na dwa tygodnie przed naremną wodą, wzdłuż Wisły i Dunajca leci gromada mew, aż od wybrzeży morza Bałtyckiego i przybycie tych ptaków do Nowotargkiej doliny jest dla górali zapowiedzią *naremnicą*.

Pod wieczór uważałem, że szum Dunajca zdawał się ustawać.

— To też to źle, panie, rzekli górale, bo woda ładuje i występuje z brzegów.

Zato powiększała się szum małych potoków, i te co jeszcze rano płynęły za spadkiem doliny, cofały się teraz wstecz i poczęły się rozlewać szeroko.

Nikt we wsi nie spał przez noc całą, ale większa część ludności oblegała podsienia, sienie i izby.

Po północy ozwał się jakiś krzyk przeraźliwy przed karczmą... Wypadliśmy na podsienia. Wznacznym oddaleniu niosła woda cały dom drewniany: w dwóch oknach domu świeciło się jeszcze. Znać gdzieś z brzegu niespodzianie zabrała woda ten dom i niosła na zatratę....

Cóż straszego miał ten widok w sobie. Światło w oknach przyświecało czasami mocniej; strwożeni ludzie przyklekli na podsieniu i mówili paciérz.

Gdy się dzień zrobił, cała okolica była pod wodą. Dunajec, wsparty na wyłomie w Pieninach, nie mogąc ułać obfitości wód swoich, tworzył jeziora na większych zatokach doliny, a drzewa unoszone przez wodę krążyły dokoła tych jezior, tworząc olbrzymie wiry, których prąd główny nie leżał pośrodku wód odlanych, ale przy brzegu.

Na jazach powyższych były widne przepyszne wodospady, od których silny szum dolatywał. Wody wydawały się na oko spokojniejsze, lecz drżenie ziemi nie ustawało...

Czasem też powstawał oryginalny szum starcia okrąglaków granitowych w prądach Dunajca. Powódź zrywała dawne ławy granitowego odtoku, a odsypywała nowe.

Brzeg wysoki, wodami podbity, urywał się tu i owdzie co chwila; ziemia się trzęsła, gdy powódź obmywała brzegi i niosła ławy kamieńca...

— Wielkie szczęście, rzekł mój towarzysz podróży, żeśmy nie żyli na świecie, kiedy wody tworzyły doliny. Mówimy sobie tak od niechcenia o najnowszych formacjach napływowych, jak o czémś bardzo niewinnem, a mam to przekonanie, że człowiek nie zniósłby widoku pierwotnych wód świata, że nie przeżyłby widoku formacji jednego pagórka.

Towarzysz mój leżał na posłaniu kiedy to mówił, a ja, stojąc u okna, zapytałem go:

— A czybyś zniósł widok płynącej wyspy?

— Co to jest płynąca wyspa? zapytał mnie, zagłębiając się w okropnościach, które się działy musiały gdy się kształtowała powierzchnia ziemi.



— Jest to taka wyspa, jaka teraz właśnie po Dunajcu płynie.

Zerwał się z posłania i poskoczył ku oknu.

W istocie był to przesłiczny i osobliwy widok. Zielona jak ruta wyspa posuwała się powoli po wodach. Kilkadziesiąt gonnych świerków rosło na tej wyspie, a nadto były one jeszcze młodą świerszczyną podszyte. Cały pokład ziemi, korzeniami związany, trzymał się silnie, jak gdyby wyspa na galarze płynęła; wolno posuwała się przodem, wierzchołki drzew drżały, ale żadne drzewo nie wychodziło z pionu.

Wtém stanęła nagle wyspa na jazie; kilka drzew poszło kłębem w przepaść, wyspa rozerwała się w kawałki i w jednej chwili poszły wszystkie drzewa w bryzgi i drzazgi, łamiąc się jedne o drugie. Niektóre z nich wbiły się szczytami w ruchomą ławę kamieńca, stercząc korzeniami w górę, inne, na pował upadłe, sterczały w olbrzymich drzazgach i łomach na jazie zastrzęgłe, a jeszcze inne popłynęły Dunajcem.....

Co chwila niosła coś woda: potopione bydłota, trumny i kolębki, drzewa zielone i kości mamutów, sprzęty domowe i odtok granitów, słowem, niosła żywe, umarłe i przedpotopowe.

I cóż to za potęga tych wód naremnych, kiedy z trzech różnych światów wybierają dla siebie zdobyce!

Górskie wody, jak nagle przybić zwykły, tak też opadają nagle; ale widok Nowotargskiej doliny był niemiły na wybrzeżach Dunajca po opadnięciu wód.

Jakiś chaotyczny nieład spławionego świata, zasp namulistych, drzew i kamieni w styrmy zwałonych, białym odtokiem granitu zavalone pola i łąki, uderzały niemiło, a ponad doliną hałasowały tylko mewy, objadając ości pstrągów i łososi, wyniesionych z potoków i rzek na mieliznę.

Czarne chmury owisły ciężko nad Tatrami i zakryły piękny ich widok, a z głębokich kotlin regli kurzyły się słupem białe dymy, odbijające przykro na tle czarnych lasów...

Dwa trzonowe zęby mamuta przyniosły nam dzieci, bo leżały na wierzchu niedalekiej zasy, a dwie rozbite trumny, w których reszta kości leżała, pochowali ludzie na cmentarzu przy kościele.

Kiedyśmy po tym świeżo spławionym świecie spuścili się jak po potopie do Szczawnicy, zastaliśmy całe towarzystwo przerażone i zmęczone po przebytej słocie.

Dzień jeden był jeszcze mglisty i posępny, ale już dnia trzeciego zeszło lipcowe słońce i ozłociło szczyty Pionin tak uroczo, że wszyscy zapomnieli o niemiłym wrażeniu dni przebytych i czuli się ożywieni oddechem odświeżonego górskiego powietrza.

Powódź dokuczyła, a w towarzystwie które się bawić pragnęło, chciano sobie powetować dnie stracone i zarządzono wycieczkę po Dunajcu na łódkach w Pioniny.

Nowotargskiej dolinie nie zbywa na pięknych widokach, owszem co chwila pokazują się Tatry z coraz nowego punktu, jakby się nową krainę widziało.

Znane i najwyższe nawet szczyty turni zmieniają kształt i wysokość swoje, w miarę oddalenia i punktu widzenia. Nigdy, przenigdy nie może się oko oswoić z temi pięknościami natury; wszystko wечно jest tutaj nowe i świeże jak oddech tych gór, nowe i świeże jak ich roślinność, nowe i świeże jak mgły i chmury, silne światła i cienie, nowe i świeże jak myśli i uczucia któremi te widoki w grze nieustannej nawiedzają ducha i nawodzą serce...

Ztąd to pochodzi ta owa tęsknota do gór, ztąd to pochodzi owo nigdy wprzód nieznane uczucie silnych wrażeń natury, gdy się wśród nich i pod nimi znajdziemy; ztąd to ów żal w końcu, z którym góry opuszczają przychodzi.

Kto się nie czuł natchnionym wśród nich, kto się nie czuł lekkim i bezpiecznym w sobie, gdy tém powietrzem oddychał, kto się z tęsknotą nie rozstał z Tatrami, żywiąc nadzieję że je jeszcze kiedyś zobaczy, ten nie żył ani wiarą, ani miłością, ani nadzieją, i drzwi do nieba zostaną mu na wieki zamknięte, bo w przedśionku wielkich natchnień nie miał nic do złożenia!

Tatry i Pioniny, Pioniny i Tatry! Pamiętam jesz-

cze te lata, w których się wszystko co swoje obcém dla nas stało i kiedy za ledwo do nowych odkryć nie należało to, że Bóg Tatry stworzył.

Tatry i Karpaty były o wiele wprzód w całym naukowym świecie znane niż u nas. Zwiędzili je znakomici uczeni i badali pod względem nauk przyrodniczych; dzieła ich, rozprawy i zbiory wyświeciły miejscowe stosunki i odniosły ten naukowy materyał do skarbnicy wiedzy europejskiej. Dla większej publiczności wystarcza to już; tych zaś coby specjalniej chcieli się oświecić o naukowych poszukiwaniach i naturze tego przedmiotu, odsyłam do studyów moich, umieszczonych w „Bibliotece imienia Ossolińskich“ p. t. „Muzeum natury we Lwowie.“

Zaszczytnie przychodzi wspomnieć na tém polu dzieła, badania i prace zasłużonych mężów. Na polu geografii, geologii i geognozy: Hacquet, Fichtel, Staszic, Schindler, Beudant, Genersich, Wahlenberg, Sydow, Pusch, Lill de Lilienthal, Du Bois, Andrzejowski, Zeiszner, Aloizy Alth, Stan. Borkowski, Tytus Dzieduszycki; na polu botaniki: Wilibald Besser, Szywerek, Polaczek, Szultes, Friedlaender, E. Christiani, bracia Kosińscy, ksiądz Mauks, Herbich, Aleks. Zawadzki, Wittman, Ducikowicz, Wilhelm Alth, J. Kanty Łobarzewski, Berdau; na polu zoologii: Konstanty Pietruski, Estreicher, Karol i Leopold Sacher, Gloisner, Nechaj, Krater, Włodzimierz Dzieduszycki, Kaźmirz Wodzicki; w meteorologii i klimatologii: Van Roy, Weiss, Steczkowski, Kunzek.

W świecie tedy naukowym były Tatry znane i interes jaki zwolna obudzała umiejętność, powiększał się w miarę tego, jak artykuły turystów, obrazki poetyczne i zbiory pieśni gminnych zapoznawały publiczność naszą z widokami i pięknosciami tych górskich okolic.

Od tego czasu poczynają się wycieczki w Tatry, i był taki dziesiątek lat, gdzie całe pokolenie odwiedzało Tatry. Było to przed utworzeniem u nas kolei żelaznych; od tego wszakże czasu zapytuje każdy: czy kolej prowadzi do Tatrów? a że nie prowadzi, woła dzisiejsi turyści jechać na wystawę kolejną żelazną i wygodnie przespąć drogę w wagonie.

Zanim się Anglicy zaetablisują w Tatrach i z całym komfortem urządzają hotele, niema nadziei ażeby się to pokolenie zobaczyło z Tatrami, albo właściwie mówiąc, aby Tatry miały zaszczyt przedstawienia się temu pokoleniu.

Ci co nie należą do postępowych zgniłków i mazgai, potrafią i dziś dostać się w Tatry na góralskim wózku. Ich to przewodnikiem być pragnę, bo dać można tylko tym, co wziąć pragną.

Najdawniejsi turyści tatrzańscy są kąpielowi gości Szczawnicy i Krynicy. U tych zdrojowisk rozgrzało się niejedno serce, powróciły niejedne siły do pierwszego zdrowia; a jak deser jest koroną uczy, tak dla kąpielowych gości Szczawnicy i Krynicy była wyprawa na łódkach przez Pioniny.

Sławę Tatrów i Pionin roznieśli po kraju ci, co u zdrojowisk Szczawnicy i Krynicy szukali ratunku i wytechnienie znaleźli.

Wielka scena natury ma, podobnie jak teatr, swój parter, swoją galerię i łoże swoje. Dla Tatrów i Nowotargskiej doliny jest prawdziwą łożą widok z Czorsztyńskiego zamku.

W pobliżu uderzają skaliste podnóża zamku i zabrzeża małownicze Dunajca. Ku zachodowi rozciąga się jak szmaragd zielona dolina Nowotargaska, osnuta srebrną, szumiącą wstęgą Dunajca. Górską strzeżogą zadęte, stoją Tatry na połącz i widać całe ich pasmo wyraźnie od *Diabego koszarzu* na Spizu, aż do *Osobnicy* na Orawie; a naprzeciw Czorsztyna, tuż nad Dunajcem, wznosi się po stronie węgierskiej starożytny zamek na Niedzicy.

Komu pragniemy Tatry pokazać z łoży i w pełnej okazałości ich otoczenia, z całym tym arsenałem piękności natury, tego wypada postawić na zwaliskach Czorsztyna, a ztąd ujrzy i wsie gęsto nasiadłe rozsiane po całej Nowotargskiej dolinie, i kościoły, i zamki, i dwory stare; tego doleci tu i szum Dunajca grającego na wirach, prądach i progach, i zajmie go mgła, i gra obłoków snujących się nad Tatrami lub u podnóża Tatrów, co wszystko razem wprawia umysł w jakieś przedziwne zadumanie...

Wspomnienia Zawiszy Czarnego wiążą się do Czorsztyna. To daje pewien nastrój duszy i sercu, zwłaszcza gdy po drugiej stronie stoi zamek Niedzicy, tak

hardzie wspaniały, jak był niegdyś; wszystko też w nim i na nim nosi cechy starożytne, a różni się tém głównie od Czorsztyna, że jest mieszkalnym i zamieszkanym dotąd.

Gryfici nasi posiadali niegdyś ten zamek i tarcza z Gryfem, bardzo starożytnego rysunku, świeci dotąd nad furta czyli bramką wchodową do zamku; a w niejakim oddaleniu przed drogą wjeżdżną stoi starożytny dąb, o którym górale mówią, że stał tu już wówczas, kiedy budowano zamek i że jednego tylko zostawiono na pamiątkę dąbrowy, którą porastało zabrzeże Dunajca, kiedy zamek na Niedzicy stawiano.

(Dokończenie nastąpi).

## KORRESPONDENCJE TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

(Dokończenie).

Paryż, maj 1867 r.

Na obrazie piątym, na pierwszym planie, widzimy pod drzewem rodzinę, złożoną z jednego mężczyzny, dwóch kobiet i dwojga dzieci. Przy nich pełno węzełków i koszyków. Rodzinę tę wojna pozabawiła dachu. Kobiety zapłakane; dzieci, jednym oboje osłonięte kożuchem, wyciągają rączką po kawałek chleba, który im jedna z kobiet podaje. Ten kawałek chleba może jest ostatnim. Patrząc na tę rodzinę, rzekłbyś że to gniazdo ptasie, z którego jastrząb połowę piskląt zabrał. Widok to rozrzuwający, témbardziej że za tło służy mu inny — widok pobojuwiska. Na pobojuwisku *on i ona*, wśród trupów i dymiących się ruin. Oboje ręce splepli i głowy przechylili, oboje smutni i zamyśleni.

Na szóstym obrazie oni oboje uciekają, nie chcąc widzieć co się stać ma. Dwaj żołnierze przywlekli człowieka posądzonego o szpiegostwo, trzej oficerowie przed namiotem czytają raport i potwierdzają posądzenie. Człowiek posądzony krzyczy i wydziera się, woła o sąd, o sprawiedliwość, bo on... niewinny, bo on... ojciec licznnej, ubogiej rodziny. Trochę czasu, a złoży niezbite dowody swęj niewinności. Przez litość, trochę czasu... na zwołanie świadków. Ale na wojnie czasu niema, litości także niema. Raport wyraźnie mówi że ten człowiek jest szpiegiem: więc rzecz skończona.

Na siódmym obrazie *on i ona* przejęci są zgrozą. Bo też scena jest okropna. Noc; księżyc przebija się przez chmury; na pobojuwisku marodery obdzierają trupy.

Osmy obraz wprowadza nas do jakiejś izby i czyni nas świadkami zagadkowej sceny. Dwa trupy na podłodze i ranna kobieta stanowią grupę, która mówi o walce jaka się tam odbyła. Jeden z trupów ścisną w pięści rewolwer, drugi głównie sztyletu. Co to była za walka i o co? trudno się domyśleć; trudno również przeczuć, czy ci co ją stoczyli byli żołnierzami. Musiała być walka straszna, sądząc po orężu jaki był w użyciu: i strzelby rzucone na podłogę, i stołki połamane, i dziecinna kołyska wyrwconą; musiała być straszna, sądząc po śladach: w kaflowym piecu wybita dziura i oderwane drzwi. Jeszcze raz jednakże powtarzam: trudno się domyśleć, o co napastnikom chodziło. Płacząca młoda kobieta powiedziała, gdyby z obrazu przemówić mogła. Przez próg przekracza mężczyzna z malutkim dzieckiem na ręku. Ten mężczyzna wygłąda na czeladnika, któremu ratunek dziecka został powierzonym. Spełnił swoje zadanie i gdy się uciszyło, wraca i widzi: dwa trupy i zranioną kobietę. Ona była jedna, ich było dwóch. Czy tedy ta walka nie była o nią? czy jeden z nich dwóch nie był jej bratem, albo, co prawdopodobniej, mężem? O! walka pomiędzy tymi, co się w dwa trupy zamienili, musiała być straszna i musiało im o ważną rzecz chodzić. Widać to po najwyższym przerażeniu, w jakie na widok tej sceny wprawieni zostali *on i ona*.

Ale chodźmy dalej. Artysta na ostatnim obrazie pokazuje nam coś straszniejszego. Jesteśmy w przedśionku kościoła. Kraty w oknach powyłamywane, kropielnice próżne, podłoga popsuta, w ścianie widać grobowiec z napisem, a obok krzyż kamienny, z wyobrażeniem rozpiętego Zbawiciela. Chrystus głowę pochylił. Z ludzi niema nikogo, tylko *on i ona*... uciekają. *Ona* nakryła głowę zasłoną — gwiaz-



# SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Układ i rysunek Kostrzewskiego.



MARIA W.

- Co mam dać za tę sukienkę?
- Piętnaście rubli.
- Co?... Pani żartuje sobie z biednego Żydką.
- Przecież to *moire antique*.
- Ny, że antyk to widzę, — ale gdzie mora?

da jej nad czołem przygasła. On zakrył twarz dłonią. Zdaje się że oboje wydali jeden okrzyk: o! Boże!...

Na tém kończy się przerażający od początku do końca dramat — przerażający a piękny. Trudno mi było odpowiedzieć na zapytanie: który z dzieł wiciu obrazów najpiękniejszy? Natężenie inwencji nawskróś poetycznej, a przytém wysoko we względnie moralności nastrojonęj, utrzymane jest jednakowo od początku do końca. Kompozycja wszędzie pełna i bogata, poprawność rysunku zadziwiająca. O poprawności rysunku i o tém, że jest ona zadziwiająca, powiem kilka słów. Wiedzieć należy, że Grottger rysuje, że tak powiem, od ręki, od pierwszego ruchu. Tworzy i zarazem wykonywa bez pomocy modelów. Francuzcy malarze, którzy jego rysunki oglądali, nie chcą temu wierzyć. Wydaje się im niepodobieństwem, ażeby on, bez pomocy modelów, przewyciężyć mógł trudności takie np., jak różne pozy ludzkich postaci, albo łamanie się draperyj, bez popełniania grubych błędów. Oni bez modelów nie śmia się ruszyć, gdy tymczasem on obchodzi się bez takowych i krytyka, przy najściślejszym badaniu, nie ma mu nic pod względem poprawności do zarzucenia. Przypatrywałem się dramatawi wojny w towarzystwie malarza, w nieobecności Grottgera i nie ufając sobie prosiłem pięknie:

— Pokaż mi pan błąd jaki...

Prosiłem we własnym interesie, w interesie próżności, co to, jak wiecie, lubuje się wytykać błędy w bliźnich. Malarz uśmiechnął się i opowiedział mi, że, gdy pewnemu francuzkiemu malarzowi powiedział, iż Grottger rysuje bez modelów, ten mu odrzekł:

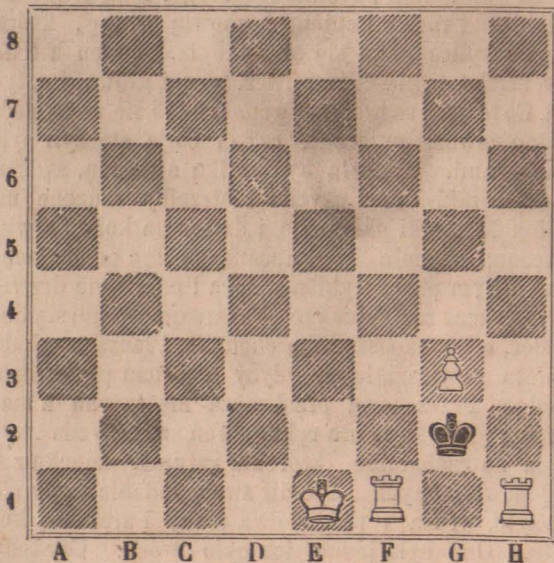
— Mój kochany, to co mi tam mówisz jest błagą... Taka poprawność bez posługiwania się modelami jest niepodobieństwem...

## Szachy.

ZADANIE CCCLX.

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 359.

Białe.

Czarne.

- |                 |                        |
|-----------------|------------------------|
| 1) E8—D7+       | 1) F5—E5.              |
| 2) A5—C4+       | 2) B5—C4 białą.        |
| 3) A7—D4+       | 3) D5—D4 białą.        |
| 4) F2—F4+       | 4) E5—D5.              |
| 5) A2—A7.       | 5) F8—H6.              |
| 6) G3—G5+       | 6) H6—G5 białą.        |
| 7) H5—F6+       | 7) G5—F6 białą.        |
| 8) A7—D4 białą+ | 8) F6—D4 białą+ i mat. |

Zwracamy uwagę czytelników na symetryczną formę końcową tego zadania.

Podaję wam, łaskawi czytelnicy, ten fakt bez komentarza, dodając z mojej strony tę uwagę, że *primo* w Matejce, *sekundo* w Grottgerze widzę świtanie nowej szkoły. Widzenia tego nie opieram na żadnych podstawach, ani historycznych, ani technicznych. Historia malarstwa jest mi ledwie powierzchownie znana, o technice malarskiej najmniejszego nie mam wyobrażenia; sądzę przeto według wrażenia, domyślając się, iż pomiędzy poezją a malarstwem zachodzić musi jakiś stosunek. Nie musieli być sobie obcymi: Tasso, Petrarca, Ariost a Rafael, Michał Anioł, Salvator Rosa, Calderon a Murillo, Szekspir a Hogart i t. d. i t. d. Poezja jest owym palcem, który artystom drogę pochodu pokazuje.

Z tego konkluzya, że w duszach takich np. Matejków, Grottgerów i innych, których w pośpiechu nie wymieniam, musi dzwonić ta sama struna, która tak rzęwnie, tak zachwycająco, tak przytém nieraz niemiłosiernie smagając ludzkie serca, dzwoniła w duszy autora *ojca zadżumionych*.

Z tego konkluzya druga: że pomimo niełaski, jaka rzeczonego autora ze strony niektórych powag spotyka, autorów... zapładnia dusze. Co do mnie, bynajmniej się tém nie martwię, a nawet gdyby to odemnie zależało, radziłbym rozczytywać się w nim i wczytywać artystom wszelkiego rodzaju: malarzom, rzeźbiarzom, muzykom. W utworach jego taka głębokość, taka piękność, tyle myśli, tyle tonów, że wydobywając je jeden po drugim i uplastyczniając lub na dźwięki przekładając, możnaby zalać jakąś część świata potopem piękna i harmonii.

Ale czy nie czas to już przestać o malarstwie? Miałbym jeszcze trochę do powiedzenia. Chciałem powtórzyć parę rozmów z malarzami, lecz muszę dać temu pokój. Obowiązkiem korespondenta jest: korespondencyą urozmaicić. Owóż trzeba przeskoczyć do innego przedmiotu.

Ba... do innego... ale do jakiego? Przedmiotów mnóstwo, tylko wybór niełatwy.

A *palmier splendide*? odezwało się przypomnienie-

Prawda — zapomniałem że się zobowiązałem pisać o rzeczy „nadzwyczajnie ciekawej.“

Jak to Francuzi umieją wszystko obrócić w śmiechność!

Pan Emil Olivier, adwokat i deputowany, znany z usiłowań zrobienia z *plus* i *minus* czegoś innego jak zero, został przez komisją izby deputowanych wyznaczonym do referowania sprawy o dotacyą Lamartinowi. Że mówił o Lamartinie, więc uważał za potrzebne upoetyzować mowę swoją, przyozdabiając ją we frazesy bardzo brzmiące. Jednym z takich była retoryczna przenośnia o wspaniałej palmie na pustyni, o szachu perskim i o drogiemi kamieniami osypanym naszyjniku. Szach, przejeżdżając, spostrzeżąc wspaniałą palmę i w zachwyceniu, w nagrodę za wspaniałość, zawiesza na niej naszyjnik. Szach — to naród francuzki, palma — to Lamartine, naszyjnik — to tyle a tyle tysięcy franków. Upoetyzowanie w ten sposób franków wielkie zrobiło wrażenie na księżycach, bąkach, słońcach, szariwarach i w ogóle wszystkich pisemkach *pour rire*. Jedno z nich, uprzedzając inne, zgłosiło się co żywo równocześnie do poetycznego adwokata i do upalmonionego przez niego poety, zaklinając ich na wszystkie świętości, ażeby pozwolili podać postacie swoje potomności... w karykaturach. Bez pozwolenia niewolno we Francji karykutować ludzi. Adwokat i poeta odmówili pozwolenia. Cóż robią pisemka *pour rire*? oto, ogłosivszy odmowę Lamartina i Oliviera, zawiązują korespondencyą pomiędzy *palmier* (palmowe drzewo) z perskiej pustyni, a *olivier* (oliwkowe drzewo) pochodzącym ze sławnej ulicy Canabière w Marsylii. *Palmier* i *olivier* (drzewo i drzewo) wzajemnie się chwala, składają sobie podziękowania i utyskują na szacha, skąpiącego co do wartości naszyjnika

i brylantów. Cała ta korespondencya, w połączeniu z odmownymi listami, stanowi całość wyborną. Każdy wyraz kole i kąsa.

Jest to zemsta na ludziach którzy nie chcieli robić jak inni, dając pozwolenia na karykatury, które, powiedziawszy nawiasem, nie nader świetnie udają się obecnie Francuzom. Zdarza się wprawdzie dowcip, ale dość rzadko. Pozwolili się odkarykutować: Thiers, Gounod Teresa, Menken, Gauthier i wielu innych i ze wszystkich, mojem zdaniem, najlepiej udało się zcharakteryzować dwóch ludzi: redaktora wskrzeszonego od niedawna *Univers* i

(Ob. dodatek).

## Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 403.

16.1.1  
Nie dajemy zwykle szczeręj wiary rzeczy, jeżeli przechodzi granicę wiadomości naszej.

(Dodatek)



redaktora *Liberté* P. L. Veillot przedstawiony jest w postaci boksującego się anioła, p. Girardin w postaci kucharza gotującego, smarzącego i piekącego ideje. Obydwaj wybornie są schwyceni: p. Veillot z ogromnymi skrzydłami, fioletowym, opryszczonym nosem, zaokrąglonym brzuskiem, cienkimi nóżkami i zacisnionymi kufakami; p. Girardin w czapeczce *chef de cuisine*, w fartuchu, przed napełnionym żarem rusztowaniem, z rądelkiem w ręku.

Dla ilustrowanych pism francuzkich, a za francuzkami angielskich i niemieckich, następuje teraz pora żniw. Stolica Francji oczekuje przybycia koronowanych gości nie tylko ze wszystkich niemal europejskich państw, ale i z zaeuropejskich. Mówią o przyjeździe cesarza chińskiego. Goście i ich swity, przyjazdy, wyjazdy i parady, cóż to za niewyczerpana dla ilustracji kopalnia! Od pewnego też czasu — czyli, nie „od pewnego“, ale od czasu otwarcia wystawy, ilustrowane pisma przeważnie zajęte są gośćmi Paryża i wystawą.

Kraków, 2 czerwca.

Wystawa obrazów. — Matejko. — Kotsisa wymarsz rekrutów i urlopników. — Jaroszyńskiego Grażyna. — Mireckiego Lutnista. — Cynka Miecznik. — Kostrzewskiego odpust. — Gryglewski. — Inne obrazy. — Gądomski. — Wykłady publiczne. — Czytelnia akademicka.

W ostatnich latach tak nas Matejko utworami swymi do arcydzieł przyzwyczaił, że gdy na tegorocznej wystawie prac jego nie widzimy, to ledwie się ochota znajdzie do ściślejszego jej przegładu. Wystawa bez obrazu Matejki, czuje się osamotnioną, pozostaje w cieniu, bo niema słońca które ją dawniej opromieniało. Kraków może tylko boleć nad tem, lecz uskarżać się nie ma prawa, bo nie umiał swego mistrza ocenić, a trzeba było aż obcych, aby Matejkę otoczyć aureolą tej sławy, jaką dzisiaj posiada. Notujemy więc tylko fakt, bez żadnych komentarzy, nie do nas bowiem należy sądzić o powodach. Czy Matejko w tym roku co stworzył, czy to co stworzył posłał gdzieindziej, czy mógł nam dać coś mniejszego a nie chciał; to są pytania, które ciekawa publiczność sobie zadaje. Dla artystów mniejszych, początkujących, może ten brak nietyle jest dotkliwym, ile dla publiczności; bez porównania z Matejką, śmieliej jakoś mogą się popisować w obec widzów, którzy nie mając w co lepszego, muszą się wreszcie w ich obrazy wpatrywać.

Wyjątek stanowi obraz tutejszego artysty Kotsisa, którego pędzel i na dawniejszych wystawach zaszczytnie dał się poznać. Przedstawia on wymarsz rekrutów i urlopników austriackich. Żal matek i sióstr, żegnających synów i braci powołanych do wojska, stanowi główną treść wewnętrzną obrazu, a przyznać należy, iż przedmiot szczęśliwie obrany i charakteryzuje tę stronę uczuciową, która cechuje wszystkie p. Kotsisa utwory.

Młody oficer ułanów, wychodząc z urzędu cyrkulowego, zatrzymał się dla pożegnania matki, która podając mu rękę, pochyliła się pod ciężarem gniożącego ją smutku. Na bladą twarz wyrysowała się cicha bolesć, która się zaledwie łączy jedną wyrazem; zresztą spokój rezygnacji w całym obliczu rozlany. Obok stojący synek, który w swój sposób chwilę pożegnania pojął, podaje bratu cygara, aby mu w jego wędrówce na niczym nie zbywało. Jest to scena pełna życia i wyrazu, z wielką prawdą psychiczną pochwycona. Obok tej grupy na pierwszym planie będącej, zwraca uwagę widza stara wieśniaczka z prawej strony obrazu umieszczona, która rozstawszy się z synem, nie zdoła rozpaczyć swęj ukryć. Tak prostą a silną jest miłość matki-wieśniaczki, tak też potężną a nieumiejącą się w karby form zamknąć jej bolesć. Rzeklibyśmy iż ból tej matki-chłopki, która z rozpaczą porzuciła pozostałą po synu odzież, jeszcze potężniej i z większym talentem uwydatniony. Do głównych też figur należy postać młodego rekruta, jak się zdaje sieroty, samotnie przesuwanego się wśród matek i sióstr, po kim innym łkających. On sam w życiu i nie ma komu podać bronię dłoń. To też w takiej chwili ogólnego pożegnania, smutek na twarzy młodzieńca łączy wytryśnięty gotowy, odbywa walkę z hamującą go siłą mężzeli. Charakterystyczną w innym rodzaju postać urlopnika; otaczające go sceny pożegnania nie czynią żadnego na nim wrażenia. Nie pierwszą to już jemu, widział zadużo scen takich aby go,

miały rozczulać. Żydek handlarz przybył tu także; obchodzą go sceny pożegnania, którym się bacznie przypatruje, obliczając ile na ogólnym wzruszeniu zyska jego zarobek. Do wydatniejszych postaci należy na uboczu stojący garbus, który drwiąco się uśmiecha, szcycąc się niejako ze swęj ułomności, co go od wojska uwolniła. Jeśli jaki zarzut możnaby uczynić, to chyba ten, iż artysta niewłaściwie umieścił na głównym planie obrazu chłopca wodącego cielę, który mógłby sobie znaleźć miejsce stosowniejsze, przez coby widzom w przyglądaniu się głównym postaciom nie zawadzał. Pominąwszy maluczki ten zarzut, obraz Kotsisa, dowodzący wielkiego w tym artyście postępu, niewiele do życzenia pozostawia i słusznie za najlepszy na tegorocznej wystawie uważać go należy.

Obraz Jaroszyńskiego, który po utworze Kotsisa najwięcej zwraca uwagę, przedstawia ranną Grażynę, z pobojowiska wracającą. Osłabłą, ledwie na koniu utrzymać się mogącą, z jednej strony podtrzymuje Litawor, a po drugiej stronie towarzyszy stary Rymwid. Oblicze Grażyny, jakkolwiek zbolale, nosi znamię silnego ducha. Artysta dobrze ją pojął. Sędziwa twarz Rymwida, rozumnego i wiernego sługi, żywo zainteresowana losem księżny, niemniej umiejętnie oddana; tylko postać Litawora, bez żadnego prawie wyrazu, wiele do życzenia pozostawia.

Z kilku obrazów Mireckiego, najwięcej się może podobać „Lutnista podsłuchany“

Cynk, Krakowski malarz, obrał za treść do swego obrazu ten ustęp z Maryi Malczeskiego, w którym miecznik, odebrawszy list wojewody, stara się zbolalą swą córkę ukoić. W komnacie staro-polskiej siedzi zażawiony miecznik, a obok niego wsparta na ramieniu Marya, lecz nie owa idealna piękność jaką zna czytelnik z poematu Malczeskiego, lecz pocziwa sobie, lat około czterdziestu kobięcina, która by była wcale stosowną, gdyby jakąś matronę zakonną, nie zaś piękną Maryą przedstawiała. Artysta biorący za treść obrazu ustęp ze znakomitego poematu, winien się najprzód dobrze z siłami obrać, aby pędzlem nie zepsuł w oczach widza tego wrażenia, jakie się przy czytaniu odbiera. Z powyższych względów obraz p. Cynka, który, gdyby co innego przedstawiał, byłby może wcale dobrym, uważać musimy za chyby.

Z Warszawy nadesłał Kostrzewski pełne życia i prawdy sceny „Odpustu wiejskiego.“ Utwór to znany wam dobrze, więc szczegółowo go nie opisuję.

Do znakomitszych obrazów należy też Gryglewskiego „Cyboryum w kościele N. M. Panny w Krakowie.“

Z Düsseldorfu p. Nikutowski, mało znany dotąd malarz, dał scenę komiczną „Wóz pocztowy wyrócony.“ Wytłuczonymi oknami powozu wyglądają zakłopotane fizjonomie podróżnych i pięście z pogrozkami zwrócone ku woźnicy, który wymownym gestem stara się uniewinnić. Jest to scena żywo pochwycona i odznaczająca się prawdziwym humorem.

Do lepszych obrazów tegorocznej wystawy należą jeszcze: Leopolskiego Wilhelma ze Lwowa „Żyd przed kantorem loteryi“; Kozakiewicza Antoniego „Wycieczka na studia“; Lipińskiego Hipolita „Gra w guziki“; młodego a wiele obiecującego malarza Bogackiego Józefa „Krawiec polityk.“ Poprzestajemy wskazać na pobieżnej wzmiance, gdyż szczupłość listu niniejszego nie dozwala nam się dłużej przy nich zatrzymać.

Gądomski, utalentowany rzeźbiarz tutejszy, dał na tegoroczną wystawę niepospolity utwór swego dłuta, przedstawiający Jeremiasza.

Na korzyść Towarzystwa akademickiego bratniej pomocy w uniwersytecie Jagiellońskim istniejącego, w roku bieżącym odbyło się tu kilka odczytów publicznych w sali Towarzystwa Naukowego. Profesor Józef Majer miał wykład z antropologii: O temperamentach. Lucyan Siemieński z literatury: Jak starożytni pojmowali wstręt do życia, czyli samobójstwo, szczególnie w tragedyi, a jak nowożytni w dramatach i romansie. Szujski miał odczyt z dziejów Polski, a mianowicie z czasów 13 i 14 w.; Józef Kremer profesor: O miłości ludzi; (wywód filozoficzny). Oprócz tego profesorowie innych wydziałów i J. I. Kraszewski wzięli udział w odczytach publicznych, z których czysty dochód zaledwie osiemset złotych reńskich wynosi.

Od 1 maja istnieje w Krakowie Czytelnia aka-

demicka, za pozwoleniem namiestnictwa otwarta. Podług statutu mogą w niej brać udział uczniowie, zwyczajni, nadzwyczajni, docenci i członkowie Towarzystwa naukowego. Józ. S.

## Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

Doświadczenia Duchartre'a nad wzrastaniem roślin. — Nowy sposób p. Tessi du Mothay otrzymywania tlenu z atmosfery powietrznej. — Przyrządy p. Limousin'a. — Własności trujące siarku węgla. — Proch Neumayera. — Nowe spostrzeżenia nad włośnicami. — Hypsometry. — Nowe wyspy wulkanicznego utworu na archipelagu greckim i pomniki zapadłego świata.

Fizyologią roślinną z bogactwem w ostatnich czasach wiele ciekawych spostrzeżeń; wypadki badań dały nowe prawdy i poglądy naukowe, otrzymane drogą niewyczerpanej cierpliwości. Potrzeba być, jak to mówią Francuzi, uczonym „jusqu'au bout des angles“ i posiadać wszystkie trzy cnoty teologiczne, aby nie cofnąć się przed zadaniem wymagającym niepospolitej wytrwałości i zamięłowania; a jednak o takie przykłady nietrudno. Dość nam wymienić znakomitego botanika p. Duchartre i powołać się na jego doświadczenia, posłużyć z czasem mogące do wykrycia praw kierujących światem roślinnym. Pomiędzy innymi okazał on, że wzrost roślin prawie zawsze dzielniejszym jest w nocy, niż w czasie dnia, co sprzeciwia się zdaje na pozór wszelkim warunkom w jakich rozwija się vegetacja, a w których tak przeważną gra rolę ciepło i światło słoneczne. Niemniej godnymi uwagi są spostrzeżenia innych naturalistów, które objąć naszą rubryką zamierzamy.

Doświadczenia podobnej natury wymagały ścisłości i sprawdzenia porównawczego na wielu gatunkach. Nie trzymając się tej drogi, obserwator mógł łatwo w błędy wpaść; studia Ventenata nad *Furcroea colossica*, Meyera nad *Amaryllis belladonna*, pszenicą, jęczmieniem, Mudlera nad *Ravenala* (*Urania speciosa*), Martins'a nad *Agawą amerykańską*, do żadnych wniosków nie prowadzą; wszystkie te rośliny okazywały wzrost szybszy za dnia jak w nocy, z wyjątkiem *Ravenali*, która z trzy razy większą prędkością wzrastała od 7-jej wieczorem do 7-jej z rana, niż w ciągu 12-u godzin dnia. Nie notowano jednak temperatury powietrza, ani maksimum powiększania się rośliny w danym czasie, a zatem pomijano względy najważniejsze.

Duchartre przedsięwziął odbyć doświadczenia na sześciu roślinach należących do różnych gromad, w ogrodzie swoim wzorowo utrzymywanym w Meudon, a mianowicie na *Latorośli winnej*, *Malwie czarnej* (*Althaea rosea*), *Truskawce południowo-amerykańskiej* (*Fragaria grandiflora*), *Chmielu* i dwóch *Mieczykach*, zwanych *Rubensa* i *Berty Roubourdin*. Z tych cztery pierwsze, jak widzimy, należały do dwulistnych. Do każdej rośliny przytwierdzano linijkę drewnianą, na której znaczone stopniowe posuwanie się wierzchołka, notując obok przedłużania się łodygi, temperaturę powietrza o 6-jej z rana, w południe i o 6-jej wieczorem.

Powiększanie się latorośli winnej jest dziwaczne. Dnia 7-go sierpnia łodyga przedłużyła się o 15 milimetrów, a w czasie nocy o 13; 8-go sierpnia wzrosła do 10 milimetrów, w nocy zaś przybytek dochodził 10 i pół; 10 sierpnia, w czasie największego upału, przybyło 16 milim., w nocy 24 milim.; 11-go sierpnia, pomimo silnego gorąca, łodyga posunęła się tylko na 15 milim., a noc piękna z obfitą rosą dała 26 milimetrów; nazajutrz powiększenie się dzienne wynosiło 18, nocne zaś 23 milimetry; w dniu następnym wzrost był mniej śpieszny, zawsze jednak silniejszy w nocy. W pierwszych dniach września przybytek nie przynosił 4 — 5 milimetrów w świetle, a 10 — 17 milim. w nocy. W ostatnich natomiast doświadczeniach sprawdzono, że wzrost nocny przewyższał trzykrotnie, a nawet czterokrotnie dzienny.

Truskawka południowo-amerykańska zachowywała się podobnie. Dnia 19-go sierpnia powiększyła się za dnia o 7 milimetrów, w nocy o 13 milim., kiedy winna latorośl dosięgła 10 milimetrów w dzień, a 21 w nocy; 4-go września truskawka wzrosła w dzień tylko o 2 milim., w nocy zaś o 17 milim., a stosunek dziennego przedłużania się wina do



nocnego, był jak 4 i pół do 17. U obu roślin wzrastanie z postępem czasu słabło.

Malwa czarna, chmiel i mieczyki dały też same wypadki: wzrost nocny przewyższał dzienny trzykrotnie.

Podobne doświadczenia odbywał p. Ch. Martins z Dasylirotem meksykańskim, hodowanym w oranżeryi ogrodu botanicznego w Montpellier. Dnia 4-go czerwca łodyga jego doszła 3 stóp wysokości, wzrastając szybko do 14-go t. m., poczem przedłużanie się jej słabło widocznie do 23 t. m.; odtąd przybytek był prawie nieznaczący. Wysokość w ciągu 23 dni otrzymana, wynosiła blisko 10 stóp, czyli w przecięciu przybytek na 24 godzin dochodził 5 $\frac{1}{2}$  cali; wzrastanie jednak nie było jednostajne. W pierwszych 11-u dniach łodyga wzniosła się do 7 stóp 2 i pół cali, co daje w przybliżeniu 7,81 cali na dobę; w ostatnich zaś 12-u dniach powiększyła się tylko o 2 stopy cali 9, to jest średnio biorąc na dobę o 2,75 cali. Wzrost ten, z postępem czasu słabnący stopniowo, zgadza się zresztą z prawem powiększania się wszystkich istot organicznych. Uderzającą tu wszakże była ta okoliczność, że roślina wzrastała śpieszniej w nocy niż w świetle dziennym; od 4-go czerwca bowiem do 21-go łodyga osiągnęła długości, licząc same przybytki nocne, 4-ch stóp 4 i pół cali, czyli wzrastała średnio od 6-jej godziny wieczorem do téjże z rana o 3,05 cali; w czasie zaś dnia, (od 6-jej godziny z rana do 6-jej wieczorem) w przeciągu owych dni 17 osiągnęła 2-ch stóp 9 cali, czyli dziennie w przecięciu powiększała się tylko o 1,94 cala. Maksimum wzrostu w ciągu 12 godzin dnia dochodziło 4,28 cali, w nocy zaś, biorąc czas téjże długości, 5,82 cali. Wzrastanie najszybsze, według bardzo ścisłych spostrzeżeń, było pomiędzy 3 a 6 godziną z rana, tudzież między 9-a godziną wieczorem a północą. Przybytek dzienny do przybytku nocnego, zostawał w stosunku jak 0,63 do 1. Doświadczenia odbywane z roślinami inspektowymi, dały mniejszą różnicę, a mianowicie 0,85 do 1. Len australski przedstawiał podobne objawy; łodyga jego osiągnęła w 45 dniach 4-ch stóp 9 cali długości, rozwijając się daleko śpieszniej w nocy jak we dnie.

Wypadki powyższe tém więcej zastanawiają, że są w sprzeczności z innemi. *Agawa amerykańska*, pielęgnowana na wybrzeżach morza Śródziemnego i potrzebująca pewnego wieku aby zakwitła, rozwija się bardzo szybko; jej szypułka kwiatowa wystrzela niekiedy w ciągu kilku tygodni na 30 stóp. Owóż wzrastanie jej dzienne zawsze bywa śpieszniejsze od wieczornego, co też równie dostrzegano w *Amaryllis belladonna*. Zdaje się że rozwój organiczny zależy tu w części od stosunku wydawanego kwasu węglanego. Zwierzęta równie jak rośliny, w miarę starzenia się, rosą wolniej, wyziewając przytém coraz mniejszą ilość powyższego gazu, dość znaczną w pierwszych chwilach ich rozwijania się. Ten wniosek nasuwają ciekawe spostrzeżenia p. Corenwindera, dotyczące ekonomii roślinnej.

„Pączki, liście drzew i roślin, powiada on, gdy zaledwo zaczynają się rozwijać, wydają wielką ilość kwasu węglanego, i to wtedy właśnie, gdy ruch wegetacyjny jest najszybszy. Zachodzi to w epoce rozmaitości, odpowiednio do gatunku roślin, które wystawione na wpływ promieni słonecznych, wyziewają jeszcze tlen zrazu słabo, potem w miarę swego rozwoju coraz obficie. Owe dwa gazy przez pewien czas jednocześnie płyną w atmosferę; przychodzi nakoniec chwila w której ostatni zaczyna przeważać, pierwszy zaledwie się objawiać. Liście ukształtowane i zupełnie rozwinięte nie wyziewają nigdy podczas dnia kwasu węglanego, jeżeli tylko znajdują się na otwartem powietrzu, pod sklepieniem nieba; przechowywane jednak w pokojach, zdala od okien lub w miejscach zbyt przyćmionych, wyziewają go i w czasie dnia w mniejszej lub większej ilości, odpowiednio do natury rośliny i stopnia przyćmienia światła. Otóż i tu również silne wyziewanie kwasu węglanego odpowiada fazie młodzieńczości roślinnej, która się nadzwyczaj szybkim wzrastaniem odznacza; w późniejszym zaś wieku roślin znaczne ich przybytki dostrzegamy tylko w czasie nocy.“

To prowadzi do bardzo naturalnego wniosku, że ponieważ wzrost zdaje się być w prostym stosunku do ilości wyziewanego kwasu węglanego, rośliny, jako wydające go najwięcej w nocnej porze, powinny w tym czasie rosnać najdzielniej.

Teorya Corenwindera objaśnia wybornie doświadczenia Duchartre'a, równie jak spostrzeżenia Meyera i Hartinga. Pierwszy odbywał doświadczenia z konopiami, drugi z chmielem, przez cały maj i czerwiec. „Jeżeli, powiada ten ostatni, podzielimy 24 godzin doby, poczynając od 7-jej godziny z rana, na trzy równe 8-io godzinne części, wzrost podczas pierwszego peryodu przewyższy z początku summe przybytków dwóch innych peryodów; w miarę jednak jak łodyga stawiać się będzie dłuższą, wzrastanie rośliny w czasie dwóch ostatnich peryodów (od 3-jej godziny po południu do 11-jej w nocy i od téjże do 7-jej z rana) stosunkowo powiększy się i przewyższy przybytek pierwszego peryodu w ten sposób, że maksimum powiększania się łodygi przypadnie w końcu 2-go peryodu, na początku miesiąca czerwca.“

Doświadczenia podobne wymagają wielu ostrożności; potrzeba w nich zważać na wiek rośliny, od młodości jej bowiem lub starości zależy będzie wzrost śpieszniejszy lub wolniejszy. Prócz tego nie należy pomijać względów na temperaturę i stan hygrometryczny powietrza, gdyż para wodna, unosząc tlen i węgiel, wzrost przyspiesza. Baczyc też wypada na wymiany zachodzące między atmosferą a roślinami, ponieważ z nich niektóre wywiązują daleko więcej kwasu węglanego niż inne, wzajemian wyziewając mało tlenu, i odwrotnie. W takich tylko warunkach prawo wzrastania roślin da się oznaczyć.

Oddawna szukano sposobów wydzielania z atmosfery czystego tlenu tanim kosztem, celem pozyskania nowego materiału opałowego i zarazem oświetlającego. Zadanie to rozwiązał obecnie p. Tessié du Mothay, używając roztworu nadmanganianu potażu albo sody, który ogrzewany w rurce do pewnej temperatury, nabiera własności pochłonywania tlenu z powietrza. Przepuszczając przez ten roztwór prąd powietrzny, gaz zbiera się w nim w wielkiej ilości, azot zaś uchodzi drugim końcem rurki, prawie zupełnie czysty. Po pewnym czasie, gdy roztwór nasyci się dostatecznie tlenem, przeprowadza się prąd w miejsce prądu powietrza, strumień pary wodnej, która wyłącza z roztworu tlen, zbierać się dający w oddzielnym naczyniu; kiedy niekiedy należy przytém dodawać małą ilość powyższej soli, dla utrzymania jednostajnej mocy roztworu, słabnącego w skutek przybytku wody. Według opinii wynalazcy, otrzymany azot pokryje nawet z zyskiem koszt operacji. Proces otrzymywania tlenu pana Tessié du Mothay odbywać się będzie w stosownym przyrządzie wielkich wymiarów, na tegorocznej wystawie paryskiej, w obec znawców, którzy jego wartość ocenią.

Studia doktora Demarquay nad wpływem kwasu węglanego, azotu, pierwszego tlenku azotu i wodoru na organizm, zwróciły niedawno uwagę; z pomiędzy środków które on wprowadzić do terapii usiłuje, zaleca szczególnie wzięwanie tlenu, proponowane jeszcze w r. 1775 przez Priestleya, w suchotach płucowych, w bezkrwistości, w puchlinie wodnej i w ogólnem osłabieniu. Ma to być czynnik energicznie działający. Wzięwanie tlenu odbywa się za pomocą przyrządów zbudowanych według pomysłu p. Limousin'a. Wyobraźmy sobie karafkę szeroką u podstawy, ze zwężoną długą szyjką i z dwoma otworami w korku, przez które przechodzą dwie rurki szklane. Z tych pierwsza zagłębia się w karafce i nurza w wodzie, zajmującej  $\frac{2}{3}$  jej objętości, końcem zaś zewnętrznym łączy się z rurką kauczukową, zaopatrzoną kruczkiem i komunikującą z banią okrągłą lub owalną z kauczuku, zawierającą gaz do wzięwania przeznaczony; druga zaś, krótsza od pierwszej, nie dochodzi powierzchni wody w karafce i kończy się również rurką kauczukową, z burstynową gałką na końcu i z otworem w środku, do osadzenia w ustach. Przyrząd cały, jak widziemy, działa jak nargyle wschodnie. Gaz, skutkiem naciskania kauczuku, wywiązuje się z początku bardzo szybko; potrzeba więc wtedy za pomocą kruczka niewiele rozszerzać otwór przez który tlen napływa; w następstwie zaś, gdy wypływ gazu jest mniej silny, można kruczek całkowicie odkręcić, cisnąć przytém lekko palcami na ściany bani czyli zbiornika. Gazy wyziewane przez człowieka ucho-

dzą nozdrzami; w chwili ich oddalenia należy ścisnąć rurkę kauczukową, ujętą między środkowy a wskazujący palec. Do wody zawartej w karafce, można także dodawać niektóre ciała lotne, jak wodę smołową, kwas fenilowy, tynkturę jodową, chloroform i t. p. Po umieszczeniu karafki w kąpielu z wody letniej, materye te ulatniają się z łatwością. Wzięwanie 20—25 kwart tlenu dziennie w ciągu kilku tygodni jest dostatecznym, według p. Demarquay, do odzyskania sił; w bladacze i słodkomo-czu środek ten ma być bardzo pomocnym, równie jak wodanasycona tlenem za napój używana. W Paryżu istnieje taka sala inhalacyjna, przez p. Limousin urządzona.

Doświadczenia odbywane z siarkiem węgla, jako środkiem obojętnym, nie powiodły się; według opinii jednak uczonego chemika p. Cloëz, związek ten posiada własności trujące i dzielnie posługiwać może do wygubiania zwierząt szkodliwych. Siarek węgla jest płynem przykrego zapachu kapusty zgniętej, którego nie traci, pomimo najstaranniejszej destylacji. Para jego, pomieszana ze znaczną ilością powietrza, jest nieszkodliwą; jednakże przy oddychaniu nią długo, zabija. Gdy siarek węgla stanowi  $\frac{1}{20}$  część objętości powietrza, działa wtedy z całą gwałtownością na ekonomię zwierzęcą. Pan Cloëz sprawdził to na ssących, ptakach i gadach. Pod dzwonem 17 kwartowej objętości, umieszczał on szmatę bawełnianą nasyoną tą cieczą i wpuszczał tam ogromnego szczura; zwierzę z początku było spokojnym i zdawało się jakby zasypiać; po upływie wszakże 30 sekund zaczęło się niespokojnie poruszać i po gwałtownych wstrząśnieniach osłabło padło, pośpiesznie oddychając. W cztery minuty potem śmierć nastąpiła. Za otwarciem ciała spostrzeżono silną kongestję krwi w płucach; jamy serca przepełnione były krwią czarną; mózg został niektniętym, a ściąganie się prawej komórki serca trwało przeszło dwie godziny po śmierci zwierzęcia. W doświadczeniu z królikiem, pod którego nozdrza podstawiono gąbkę napojoną siarkiem węgla, powtórzyły się prawie te same objawy, a i tu również prawa komórka ściągała się przez 5 godzin po śmierci, zaszłej po upływie 9 minut. Działaniu trującej cieczy najdłużej opierały się gady, naj-słabiej ptaki, jak łatwo było przewidzieć.

Celem wytopienia zwierząt w norach podziemnych przebywających, używa się rury ołowianej 4 stopowej długości, 10 linii średnicy mającej, otwartej w obu końcach. Mały lejek z blachy żelaznej wkłada się w otwór górny; ściany rury poprzebijane są także, aby otworami ich mógł być zapewniony dostateczny wypływ cieczy, w razie zwłaszcza gdy otwór dolny mogłaby zapychać ziemia. Do jednej nory potrzeba użyć 4 łutów siarku węgla. Po właniu płynu w rurę, zatyka się ją dobrze ziemią i ubija nasypkę; na drugi dzień z pewnością zwierzęta znajdziemy nieżywe. Sposób to łatwy i ekonomiczny, we Francji bowiem funt siarku węgla kosztuje około 25 groszy, w Niemczech 50 gr.; u nas jednak materiał ten nieporównanie jest droższy, cena bowiem funta wynosi 10 złp.

Obok prochu Szultzego, o którym wiadomość podaliśmy w roku zeszłym, należy się miejsce nowo-wynalezionemu przez inżyniera saskiego Neumayera. Próby z nim odbyte na placu Trocadero, w obec generała Beuret członka komitetu doradczego artylerii, p. du Bouchet dyrektora fabryki cesarskiej prochu i wielu specjalistów, powiodły się najzupełniej. Nowy proch posiada zalety niepospolite; zamknięty w miejscach gdzie przystęp powietrza jest choćby najszlaby, pali się powolnie, bez huk i wstrząśnienia; przeciwnie zaś gdy komunikacja z powietrzem zewnętrznym jest przerwana, jak w broni, w naczyniach hermetycznie zamkniętych i t. p., wybucha gwałtownie. Słabe cofanie się kłby po wystrzale, niewielkie zanieczyszczenie, dym mniej gęsty, przechowywanie łatwe i bezpieczne, nakoniec koszt fabryczny wyrobu nader mały, oto są korzyści kompozycji p. Neumayera. Nowy preparat, z wejrzenia mniej czarny od prochu zwyczajnego, przedstawia pewien odcień rudawy, co pochodzić może prawdopodobnie od węgla niezupełnie w nim wypalonego. Siarka, saletra i węgiel wcho-



dzą w skład jego w zwykłych stosunkach: wyższość jedynie stanowi tu dodatek pewnej materii, będącej dotąd tajemnicą wynalazcy, przytém jest twardy i drobny. Doświadczenia dały wypadki następujące: broń iglicowa nabita 1½ drachmy nowego prochu, z odległości 86<sup>2</sup>/<sub>3</sub> łokci wbijała kule głęboko w deskę 5 calowej grubości; dym zaledwie był widoczny; broń odpychała słabo, nawet używając dwóch drachm do naboju. Przy próbach rozsadzania skał, siła prochu Neumayera okazała się również dzielniejszą od otrzymanej z prochu zwyczajnego. Po zapaleniu kompozycji rozsypanej na ziemi pod otwartym niebem, topiła się ona przez pewien czas, wywiązując mocne ciepło, z towarzyszeniem spokojnego płomienia, i po silnym wrzeniu pozostał osad gąbczasty, mający wejrzenie wapienia, przez który przedarły się gazy o wysokim ciśnieniu. Nadmienić tu potrzeba, że grunt poddany doświadczeniu był gliniasty, i może dlatego spowodował powyższe objawy. Ostatnie próby odbyto w miejscu osłoniętym, w małym baraku z kamienia wystawionym, pokrytym dachówką i zaopatrzonym w kominek przewiewny sześciocalowej średnicy; wniesiono tam baryłki otwarte, zawierające razem 27 funtów prochu, który zapalono. Spłonienie spokojne nie dało najmniejszego osadu ani wstrząśnienia. Następnie umieszczono w baraku 2 funty prochu zwyczajnego i zapalono go; wybuch zburzył natychmiast budynek do szczytu. Proch przeto Neumayera posiada też same przymioty, co proch brunatny pruski, a pod względem bezpieczeństwa jest niezaprzeczenie wyższym od kompozycji piorunujących Augendra'a i de Vry, a nawet od nitrogliceryny, tyle głośniejszy w ostatnich czasach.

(Dokończenie nastąpi).

## ŻYCIE ZA ŻYCIE.

Powieść

Waleryi Morzkowskiej.

(Dalszy ciąg).

— Posłuchaj, wyrzekł, siadając przy mnie. Kiedy z ufnością dziecka, z szaleństwem niewiedomości oddałaś serce pierwszemu co po nie sięgnął, czy zapytałaś kto jest ten człowiek, czy wart był skarbu jaki dostawał, czy umiał ocenić go przynajmniej? Czy zapytałaś o życie całe, o przeszłość jego?

— Nigdy, on nigdy nie mówił mi o przeszłości swojej.

— Wierzę, odparł opiekun mój z gorzkim uśmiechem. Ja poznałem tę przeszłość zapóźno.

I tutaj począł długą powieść, której każde słowo wyrzyło się w pamięci mojej ognistymi głoskami, powieść której pióro moje powtórzyć nie zdoła, przed którą myśl sama się cofa.

Ileż kobiet przeszło przez serce jego, ileż szaleństw, ileż miłości! Miłości... czyż można nawet podobnie przelotne uczucia nazywać tém świętym imieniem!?

Słuchałam nieruchoma, płomień przechodziły mi po twarzy, a zimno ścisnęło serce, aż wszystkie uczucia wstrętu, oburzenia, zazdrości stopiły się w jedną nieskończoną boleść. Nie mogłam spojrzeć na Herakliusza, na świat otaczający, nie mogłam spojrzeć w samą siebie.

On mówił ciągle, aż słowa jego zmieszały się dla mnie w jakiś szmer niewyraźny. Świat cały zamroczył mi się w oczach, straciłam przytomność.

Gdy powróciła do zmysłów, byłam u siebie na sofie; Du Barlette trzeźwiła mnie przestraszona, a Heraklusz, klęcząc przy mnie, rozciął mi dłonie. Spojrzałam w twarz jego: była białą jak płótno, a oczy, jakby lękając się widoku mego cierpienia, spuszczały się ku ziemi, odwracały odemnie.

Nie mogłam wymówić słowa; ścisnęłam tylko rękę jego, zalévając się łzami, bo w tej chwili wróciło mi wszystko do pamięci z przerażającą jasnością i zrozumiałam nieszczęśliwa, że rozpacz, pogarda nawet nie zmniejszy miłości mojej: pomimo wszystko — kocham Edwarda, a twarz jego dumna, smutna, szlachetna, stoi niezachwianie w myśli mojej i zdaje się patrzeć z wyrzutem, ognistymi, głębokimi oczyma.

Próżno, ja nie odnajdę już szczęścia nigdy, nigdy! ale jego nie zapomnę także!..

### LIST XIII.

Edward do Albiny.

Dawno już nie pisałem do ciebie, bo i cóż ci powiem, Albino? Siły moje wyczerpują się w walce z widmami, które pokonane na chwilę, znów powracają, zmieniając kształty jak kameleon, a zawsze stając pomiędzy nami. To ów wieczny kamień Syzyfa: daremnie podnoszę go w górę, on zawsze opada mi na ramiona.

Na pozór mam wszystko czego żądać mogę, serce i przyrzeczenie ukochanej kobiety; na pozór nie mam przeszkody żadnej, a jednak położenie moje jest straszne i pogorsza się z dniem każdym, bo oddając życie i miłość, jeszcze Idalii szczęścia dać nie mogę. Wyobraźnia jej stawia zawsze cierpienia urojone, życzenia niepodobne; wzdycha jak dziecko do gwiazdy z błękitu i płacze że jej dostać nie może. Prawa życia i społeczeństwa, niecofione warunki bytu, ludzkie potrzeby i ludzkie żądze, wszystko to leży za granicami jej pojęcia. Ja nie wiem jakim słowem przemawiać do niej, nie wiem jak ukoić jej ból, jak wytłumaczyć wszystko, czego rozumieć nie chce. Niespodzianie spadają na mnie burze jej serca, i odgadnąć ich, uprzedzić nie mogę, i winię o to niedołęztwo miłości mojej.

— Ale powtarzam ci, braknie mi w końcu siły. Złamany, znękany, wiem to jedno, że kocham i cierpię.

Wczoraj zastałem ją zmienioną tak, że od pierwszego wejrzenia stanąłem jak wryty. Herakliusza nie było w pokoju, a Du Barlette wyszła wkrótce, zostawiając nas samych. Idalia drżąca, gorączkowa, patrzyła na mnie i zapominała witać; oczy jej wielkie, podkrążone, połyskiwały łzami, wyrzutem, ale i miłością, usta drgające, blade nie mogły wymówić słowa.

— Idalio! zawołałem, rzucając się ku niej jak szalony, Idalio! co tobie? powiedz!

Nie wyrzekła słowa, nie mogła mówić; pierś jej podnosiła się łkaniem.

Pochwyciłem jej rękę: były zimne jak marmur. Twarz jej wyrażała dziwną walkę, jakby kłóciły się w niej dwie potęgi. Mój widok mimowolnie rozjaśniał jej rysy i poza smutkiem błyszczała miłość, po za ufnym spojrzeniem, przebijała wiara; ale to trwało chwilę. Znowu nieufność i smutek zwyciężyły.

Wiedziałem już że z nią jak z dzieckiem postępować trzeba. Zwolna ukląknęłam przy niej, jej ręce przytuliłem do piersi i tak wpatrywałem się chwilę w jej oczy, w jej przeczyste rysy, napiętnowane cierpieniem.

— Idalio, wyrzekłem miękko, czy nie chcesz, czy nie możesz powierzyć mi smutku twego? Wszak on do mnie należy, jak i ty cała. Co tobie?

Nie broniła mi się, nie odpychała, tylko nawzajem wzrok zatopiła we mnie i milczała długo. Ja czekałem.

— Nie, to być nie może, zawołała w końcu z wzbuchem, to być nie może, byś ty mnie nie kochał.

— Bym ja nie kochał ciebie? powtórzyłem błędnie. To nfe serce twoje, to usta tylko wymówiły te wyrazy, Idalio, i nie powtórzą ich więcej, bo nie zawsze mógłbym je przebaczyć.

Tym razem nie obraziła jej dumna mowa moja, owszem słuchała, wpatrując się we mnie z rodzajem szczęścia.

— A jednak, wymówiła po chwili, był czas kiedyś mnie nie kochał, Edwardzie.

— Nie znałem ciebie wówczas, wyrzekłem, śledząc niespokojnie wyraz jej źrenic i nie wiedząc co powiedzieć chciała.

Ona pasowała się chwilę sama ze sobą.

— Powiedz mi, szepnęła w końcu, nachylając usta do ucha mego, jakby lękała się słyszeć słowa własne, czy tak samo kochałaś inne?

To słowo objaśniło mi wszystko: to zazdrość przeszłości dręczyła teraz to okrutne dziecko, — i smutek przeszedł do głębi mej duszy. Zazdrość przeszłości, to zazdrość nieuleczona; sam Bóg przemienić nie może tego co było. I zawahałem się chwilę, szukając odpowiedzi, ale miłość przyszła mi w pomoc.

— Bądź spokojną, odparłem, biorąc jej rękę i kładąc na piersi mojej. Nie kochałem nigdy, jak kocham ciebie, dla nikogo i od nikogo nie zniósłbym tyle.

Musiła w oczach wyczytać szczerotę słów moich, a jednak one nie zdołały jej uspokoić.

— Więc ty kochałeś już, zawołała, więc to prawda, kochałeś już nieraz?

— Idalio, wyrzekłem smutnie, poco zaglądasz próżno do chaosu przeszłości? poco dręczysz mnie i siebie? Spójrz mi w oczy, w czoło i zobacz czy dostrzeżesz tam ślad uczucia, któreby nie było miłością dla ciebie. Nie bądź okrutną daremnie; przeszłość przestała być w mocy mojej. Choćbym chciał zmyć ją i zmasać łzami, nie potrafię jej przeinaczyć. To próżno. Ale patrzaj w przyszłość, Idalio. Teraz i zawsze życie moje, serce, myśl do ciebie należą. Czegoż chcesz więcej?

— Ja nie mogę znieść myśli, że masz wspomnienia do których ja nie należę, nie mogę przenieść tego żeś kochała inne kobiety.

Milczałem, wpatrując się w nią boleśnie, bo i cóż więcej powiedzieć mogłem?

— I gdzie są kobiety które kochałeś? Edwardzie, pytała dalej gorączkowo.

Pytania te były mi męką; czułem że odpowiedź moja będzie nią dla niej, ale nie chciałem zniżyć się do kłamstwa.

— Ja nie wiem sam, wyrzekłem; życia nasze rozeszły się, tak jak i serca.

— I to jest wasza miłość! zawołała, odwracając się odemnie z rodzajem zgrozy. I ty masz czoło zwracać do mnie ten wyraz, sprofanowany już tyle razy!..

Podniosłem się, dotknięty temi słowy, a jednak była w nich prawda. Są rzeczy których bezkarnie profanować nie można; są czyny niezmasane, które w danej chwili powstają jak widma i stają nam w poprzek życia.

Idalia nie miała słuszności, ale jam nie był bez winy; rzucałem młodość na wszystkie wichry i serce na wszystkie fale. Dziś ona żałowała roztrwonionych skarbów uczucia, które do niej należeć miały, obrażała się tym podziałem życia i serca. Ale przeszłość była niepowrotną!..

— Więc, spytałem z dumnym poddaniem się, czy chcesz dzisiaj ukarać mnie za to, żeś śmiała pokochać ciebie, że wzajem byłem kochany? Czy chcesz wrócić ci słowo? Czy chcesz zapomnieć o mnie, jak o niegodnym siebie?

Oczy Idalii utkwily we mnie z przerażeniem, jakbym wymawiał niepojęte słowa.

— Ty umiesz zapominać, wyrzekła z goryczą i zniechęceniem. Naucz mnie jak to można zapomnieć. Ja nie potrafię, ja nie chcę, a choćbym chciała... nie mogę.

I blada jej głowa opadła na piersi, lzy strumieniem puściły się z oczów przymkniętych i płynęły po białej twarzy, jak rosa po kielichu kwiatu.

Patrzyłem na nią z boleścią nie do opisania; serce pękało mi w piersi, i poraz pierwszy w życiu ja także uczułem pod powieką gryzącą gorycz łez.

— Więc czego żadasz odemnie? zawołałem. Czy w mocy jest mojej wrócić ci spokój przeszłości? Jeżeli sądzisz mnie niegodnym siebie, przebac mi żeś oczy podniósł ku tobie. Dziś, jak i zawsze, rozrządzać mną możesz. Rozkazuj. Jam gotów na wszystko!

— Gotów na wszystko, powtórzyła z goryczą, gotów znowu zapomnieć i znowu kochać, jak zawsze, jak dawniej.

— Bóg widzi, wyrzekłem z rozpaczą, że nie pojmuję bez ciebie życia ni szczęścia. Powiedz mi, czy jest jaka przysięga coby uspokoić cię mogła?

— A czy jest jaka przysięga której nie wymówiły dotąd usta twoje? Czyż nie rozumiesz że przeszłość odbiera mi wiarę nazawsze, a miłości i bólu odebrać nie może? — dodała ciszej, jakby sama do siebie, opuszczając ze zniechęceniem załamane ręce.

— Więc żal ci że mnie kochasz? pytałem namiętnie, chwytając jej rękę i patrząc prosto w oczy. Powiedz to, miej odwagę powiedzieć!..

Chwilę wahała się niepewna, topiąc wzrok pytający w moich oczach, jakby przez nie szła do głębi ducha i badała jego tajniki. I musiała wyczytać w nich ból straszny; twarz moja, lepiej niż słowa, musiała odkryć jej całą siłę miłości mojej, bo blade rumieńce wróciły na jej lica.

— Nie, Edwardzie, wyszeptala po chwili, oddając



uścisk moich dłoni, nie, ja tego nie wymówię nigdy. Bądź jak bądź, ja cię Kocham!...

I znowu między nas powróciła cisza, spokój pozorny, spokój jaki istnieć może po burzach podobnych. Ale spokój ten pochodził raczej z wyczerpania ducha, niż z harmonii. Są słowa które nie zamieniają się bezkarnie, których nie z pamięci wymazać nie zdoła; są bóle niepowrotne, które jak rdza padają na miłość, plamią ją, brudzą i niszczą z wolna.

Nieraz, kiedy patrzę na nią gorączkową, bladą, znękaną, zapytuję siebie czy to ta sama istota, z którą zaznałem czas niebiańskiej pogody, gdy nieświadomości jeszcze wzajemnych uczuć naszych, żyliśmy jednym życiem, oddychali jedną myślą?

Jakżeż ten czas daleko, Albino; czyż niepodobna już wrócić do niego, czy ja, czy ona przemieniliśmy się tak strasznie?

I ciągle przychodzi mi do myśli to, że dniem w którym skończyło się szczęście nasze, był dzień przybycia Herakliusza. Czy nie mylą mnie przecucia, czy on, jak duch nieufności, nie stoi pomiędzy nami i mści się w ten sposób za odniesioną porażkę? Co nim kieruje, zemsta, zawzięcie czy miłość? Bo i ta myśl czasem, jak fala ognista, przechodzi mi przez mózg i świdruje czaszkę. Gdybym to wiedział, gdybym to mógł wiedzieć! Ten brudny satyr, śmiałyby rzucić na nią oczy? Czemu nie, wiek namiętności nie przeminał dla niego, ani też wiek nadziei; jedno spojrzenie na tę wyszukaną powierzchowność starczy za odpowiedź. A jednak gra jego jest tak skryta, tak ogledna, iż przypuszczenia tego żadnym, by najmniejszym faktem poprzeć nie mogę; ale tkwi ono we mnie uparcie od owego wieczoru przybycia, od owego pocałunku powitania, który wydał mi się zadługim.

Wczoraj, po tej burzliwej rozmowie z Idalią, potrzebowałem chwili ciszy, by uspokoić myśli i zmysły rozszalałe. Wybiegłem do ogrodu, szukając samotności; gdy nagle, na przekór samemu sobie, nadszedłem na Herakliusza.

Hrabia, wygodnie rozłożony w kołyszącym się fotelu, wygrzewał się jak pajak na słońcu; głowa jego zwieszała się na poręczy, a oczy w pół przymknięte zdawały się śledzić z bezmyślną rozkoszą błękitny dym wonnego cygara, który spiralnym słupem ulatywał w górę. Cała jego postawa była postawą człowieka bez troski, obojętnego na wszystko co nie jest materyalnym użyciem, nie dreczonego żadną głębszą myślą, żadnym uczuciem lub namiętnością. Zatopiony w rozkoszach *far niente*, spoglądał zadowolonym wzrokiem na piękny krajobraz, na czyste niebo, na wykwitne kwiaty ogrodu, ułożone w różnowzory kobierzec. Duch jego zdawał się, jak ciało, używać doskonałego spoczynku. Nadszedłem i zawałem się chwilę; nie chciałem przerywać mu tej ciszy, a bardziej jeszcze nie chciałem pokazywać mu swej zmienionej twarzy.

Ale jego bystre, przymglone oko spostrzegło mnie, choć nie zdawało się obejmować promieniem spojrzenia. Skinął mi głową z przyjazną poufnością, na znak powitania, i razem wyciągnął rękę z otwartą cygarniczką.

Nie mogłem odsunąć się bez niegrzeczności, lub zwrócenia uwagi. Zbliżyłem się i zapalając cygaro, chciałem dać rozstrojonym rysom czas powrócenia do normalnego stanu.

Jednak nie uszło niedbałej przenikliwości jego.

— Widzę, rzekł z właściwym sobie uśmiechem pół dobrodusznym, pół szyderczym, spoglądając na różę, którą machinalnie zerwałem przechodząc i cisnąłem w palcach, widzę żeś się pan przekonać musiał o kolecach u każdej róży.

W istocie, kwiat który trzymałem, miał ostre kolce, które do krwi prawie wpijały się w ręce moje zaciśnięte. Rzuciłem go z gniewem, jakbym nie rozumiał ukrytego tych słów znaczenia.

Ale hrabia ciągnął dalej pytająco:

— Czy odrzuciłbyś pan równie skwapliwie wszystkie kolce z drogi życia? W takim razie powiem Idalii, żeby się miała na bacności. Widziałem dzisiaj pełno koleców w jej spojrzeniu, i przewidując burzę, aż tu się schroniłem. Wprawdzie burza mnie się nie tyczy, ale zawsze strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Mówił to z wolna, przeplatając słowa kłębami dymu, niby oczekując przerwy, odpowiedzi. Ale ja nie mógł tak łatwo dostroić się do tego tonu, lub obojętnie mówić o tem, co życie moje wytrącało z kolei.

— Ach! młode dziewczyny, młode dziewczyny! ciągnął dalej Herakliusz, spoglądając w górę litośnie z wymownym gestem ramion i patrząc na mnie z pod oka.

Rozmowa ta drażniła rozstrojonego ducha, a jednak postanowiłem nie dać tego poznać; bo jakkolwiek hrabia był zamkniętym w sobie, jakkolwiek robił sobie zapewne igraszkę z cierpień moich, mierząc mnie skośnym spojrzeniem, dawał mi w zamian pole badania siebie. Dlatego starałem się słuchać go cierpliwie.

Nie tak nie dreczy, jak podejrzenie oparte na przecuciu, gdy fakt żaden wspierać go nie chce, a ono na przekór trwa uparte, niezwalczone.

— Młode dziewczyny, powtórzyłem, hamując porywczość moją. Mówisz pan o Idalii. Czy wiesz co jej jest?

I wzrok mój zapalał mimowolną groźbą; ale hrabia nie zdawał się widzieć tego. Wyjął z ust cygaro, przymrużył bardziej jeszcze oczy, wlepiając je we mnie i wyrzekł z pewnym rodzajem wybuchu:

— Co jest Idalii! jak ja to wiedzieć mogę? Czy sądzisz pan, że moja głowa obejmie ten ogrom nierozsądku, dziwactw, marzeń i urojeń, z których składa się usposobienie dziewczyny? Jesteś pan naiwny, że mi stawiasz podobne pytanie. Weź przeciwieństwo wszystkiego co się zowie logiką i zdrowym sensem, a będziesz miał odpowiedź.

W istocie, dla Herakliusza Idalia była tem wszystkim; ironiczna gorycz prawdy dźwięczała w jego głosie. Mógłże ją kochać i tak sądzić, tak przemawiać o niej?

A jednak w jego głosie była ukryta radość, która nie uszła uwagi mojej. Była to prosta złośliwość tylko, prosta zazdrość?

Ludzie którym już miłością serce nie zdoła zakwitnąć, mszczą się zazwyczaj w ten sposób za bezsilność własną, lub widząc burzę uczucia, cieszą się, jak bezpieczny żeglarz, cudzemu rozbiciem i cudzą męką.

Bądź jak bądź, pod tą pozorną, szyderczą obojętnością hrabiego, widziałem jawnie jedno z tych uczuć. O gdybym mógł się przekonać, że to on wlewa w jej umysł jad nieufności, niewiary, że to on brudzi jej czyste myśli obrazami przeszłości mojej, odzyskałbym szczęście i spokój, odzyskał nadzieję. Ale tak, łamię się i biję z nieujętemi widmami i nie śmiem myśli zagłębić w tę przepaść jutra niezbadaną.

Walka z istotą ukochaną, to owa mistyczna, biblijna walka z aniołem: nikt jej nie, stacza bezkarnie, zwycięstwo nawet zabija.

Ja nie mam już siły na walkę żadną, a czuję że każdą chwilę przyszłości zdobywać mi przyjdzie, że z drogi na której stanęliśmy, niema powrotu. Serce moje jest mdłe i zbolełe, myśl strudzona, głowa ciężka, czoło palące. Pierwszy raz w życiu trwożę się i wątpię, potrzebuję spoczynku i ciszy. Ach! gdybym mógł choć jeden dzień, choć godzinę zamaryć pogodnie, spoglądając na nią jak dawniej, jak kiedyś, znów usłyszeć jej piosnkę dźwięczącą srebrną nutą w powietrzu, — odzyskałbym może siły utracone. Ale to próżno, takiej chwili nie odnajdę już nigdy może, a tymczasem miłość moja, zamiast zmniejszać się, wzrasta z dniem każdym, z przeciwnością każdą, pożera istotność moją całą. Pamiętam że dawniej byłem silny, dumny, nieugięty; ale dziś to wszystko jest przeszłością tylko! Albino, ja nie poznaję już samego siebie!...

(Dalszy ciąg nastąpi)

## Przegląd teatralny.

Teatr Wielki: Benefis pani Bakałowiczowej „Młodość Muszkietierów,” dramat w 12-tu obrazach z prologiem, przez Aleksandra Dumas'a i Augusta Maquet'a.

Dumas w najwyższym blasku swojej chwały i piędędzy, które za nią w ślad chodziły, założył w Paryżu tak zwany teatr historyczny.

Była to poprostu spekulacja, na której autor An-

tonego wiele sobie zakładał. Wiadomo że utworzył on sobie całe biuro współpracowników. A że dzienniki właśnie wówczas potrzebowaly ożywienia felietonów, więc powieści sypały się jak z płatka i prace młodych pisarzy pod ożywczym dotknięciem mistrza nabierały barw i zajęcia.

Dramat jednak popłatniejszy od powieści, więc nie zapomniano i o dramacie. Ale pocóż silić głowę nad pomysłami? Dobrotliwa publiczność przyjmie i stare w nowej formie, owszem, rada będzie widzieć wcielone na scenie dobrze sobie znane i ulubione postacie. Ku temu dostarczał gotowych skarbów felieton, a teatr historyczny, sówicie opatrzone we wszelkie nowe pomysły świetności przedstawień scenicznych, obszerne dla niewyczerpanego pracownika przedstawiał pole. Więc jęto się przeróbek na wielką skalę. Każdą część Muszkietierów przerobiono na dramat, toż samo uczyniono z rozslawionym Hrabią Montechristo, mnożono obrazy na zawołanie, trzymano publiczność przez sześć a czasem siedem godzin na przedstawieniu, zwabiano ją świeżymi kostiumami, dekoracyami, drobnymi efekcikami scenicznymi, malarskim i kostiumerskim przyborem, mniej dbając o prawdę, o rzeczywistą wartość sztuki.

I stało się że nawet Paryżanom, chociaż tak żądnym widowisk, znudziło się to wprędce. Teatr historyczny upadł, a krótkie było jego trwanie. I wraz z nim skończyła się epoka owych obrazowych dramatów, wyrachowanych tylko na efekt.

Otóż Młodość muszkietierów jest szczątkiem tej dawno już rozpięchłej falangi, a nawet sprawiedliwość każe nam wyznać, że utwór ten nie należał do najlepiej obmyślanych i najprzychylniej przyjętych. Daleko więcej miał powodzenia dalszy ciąg dramatu „Dwadzieścia lat później,” znany u nas pod nazwą „Muszkietierowie.”

Sądzimy że to krótkie, ale wierne wypowiedzenie stanu rzeczy zwolni nas od rozbioru nowo przedstawionego dramatu, który przez kilkanaście lat czekał w bibliotece teatralnej na sposobność ujrzenia światła dziennego. A choćby nawet ta sposobność nie nadeszła nigdy, niewieleby było szkody.

Artyści, każdy w swoim zakresie, grali dobrze, i nic dziwnego, była to przysługa koleżeńska, szło bowiem głównie o uświetnienie benefisu zdolnej artystki, która w swojego rodzaju rolach dotychczas pozostaje u nas najlepszą, że nie powiemy jedyną. Kilkanaście lat sumienniej pracy scenicznej, kilkadziesiąt ról odegranych z powodzeniem, które talentem i grą wzorową daje się zawsze zdobywać, to już niemały tytuł do sympatyj publicznej, a wiadomo że publiczność nasza ulubionych sobie artystów chce i umie wynagradzać. Nie szło tu wcale nawet o rolę, bo w Młodości muszkietierów żadna rola nie jest wybitną ani występującą na światło; tam wchodzi cały pułk osób działających, które co chwila pojawiają się i znikają, żeby występować w szeregu obrazów niepodobnych prawie do zrozumienia dla tych, którzy powieści nie znają. Więc nie doraźny tryumf, ale ciągle i niezaprzeczone zasługi pani Bakałowiczowej ucziła publiczność sułtym oklaskiem, którym witała tę utalentowaną artystkę, i tak licznym zebraniem się, że kasę przed rozpoczęciem przedstawienia zamknąć trzeba było. I rzeczywiście, niemałe to poświęcenie wytrzymać tyle godzin w straszliwym upale, okupując krótkie obrazy długimi przerwami, które z konieczności, dla zmian scenicznych, musiały się po za zwykły zakres przeciągać.

Wacław Szymanowski.

## HISTORIA RZYMSKA MOMMSENA

Zeszyt 11ty wyjdzie 30 czerwca r. b.  
Całe dzieło składać się będzie z 4ch tomów, czyli zeszytów 36. — Cena rsr. 8. — Prenumerata przyjmuje się po rsr. 1.  
Pragnący na prowincyi mieć to dzieło, przysłać raczą pod adresem wydawcy rsr. 4, oraz przy odbiorze zeszytu 12go drugie rsr. 4, a egzemplarze będą sobie mieli przesłane franco.

Józef Unger.